

GALERYA
pisarzy polskich.

(Antologia zeszytami.)

Tomik II.

POZNAŃ.
Nakładem braci Szerków.
1840.

B
P

1

110466

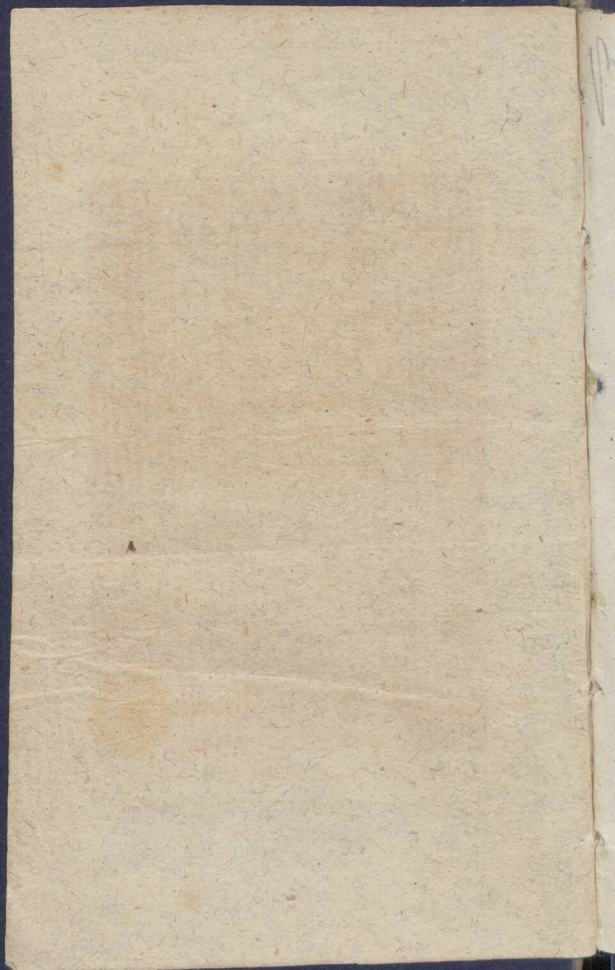


Biblioteka
Dra Jana Rymarkiewicza

ze Zgorzelic

z Poznania.





GALERYA
pisarzy polskich.

(Antologia zeszytami.)

Tomik II.

POZNAŃ.
Nakładem braci Szerków.
1840.

110466.T/2

Czeiönkami W. Deckera i Spółki.

1922.10889 a

Kraszewski J. I.

urodził się dnia 26. Lipca 1812 . r.
W obecnym czasie przodkującym i naj-
czynniejszym jest pisarzem w literatu-
rze polskiej. Zawód który sobie obrał
jest wyraźny. Z jednej strony stara
się nas odwieść od ślepego zamiętowania
wyobrażeń francuzkich i błędnej choć
dość powszechnej wiary, że tam to ze-
szedł zenith cywilizacyi objawiający się
w doskonałych formach społecznych,
moralnych i literackich — z drugiej
zwrócić nas do uprawienia własnej ni-
wy umysłowej i gruntowniejszego za-
poznania się domowemi rzeczami. Za-
lety prac jego są w twórczej zdolno-
ści, w rozumie potężnym, który nawet

*tam widać gdzie się puścił błędnym ex-
altowanėj poezyi torem, a tam gdzie
słucha uczucia indywidualnego i szcze-
rego, gdzie myśl w którą istotnie wie-
rzy, tłumaczy, łatwo mu równie być
wzniosłym lirykiem, jak głębokim ele-
gistą. Z poezyi dotychczas wydał 2
Tom. w Wilnie w 8ce 1836. W tym
roku zapewne ukończy swój poemat
Witolurandy. — Z prozy zaś już 31
tomików posiadamy. Najważniejsze pra-
ce ze wszystkich będą: *Historja Wil-
na — Archeotyka — i Sławińska gram-
matyka. W tak młodym wieku żaden
z krajowych pisarzy więcéj nad niego
nie utworzył.**

NIEULEKNIONY.

Słońce wstało lżą krwawą zlane mając
lice

I niebo czarne, groźną wróży nawał-
nicę.

Na wozie wiatrów obłok od północy
plynie

A chmur seciny, jego nieznużeni gońce,
W ciemne zasłony kryją zakrwawione
słońce

I resztę światła niebios wydarły dolinie,

Na górach, które siwe wierzchołki
wyniosły

Nad świata burze i pogody świata,
Wiry śniegow żeglują powietrznemi
wiosły

Jak powiewną skał dzikich wzlatująca
szata.

Strzelily gromy; śmierci oblane plo-
mieniem

Niebo, gniewne na ziemię obróciło
oczy —

Człowiek, ów dumny robak ukłęknał
ze drzeniem
I wzrok nieśmiały po niebiosach toczy.

Lecz był jeden, co gardził światem i
zniszczeniem
Niezlękłém okiem patrząc w pioruny
i burze.

Ten poszedł, stanął na wyniosłej górze
I świat cały powolném obwinał wej-
rzeniem.

Trzeba go było widzieć! — nad burze
i gromy

Wzniósł wzrok posepny, groźny, nie-
ruchomy,

Kiedy bił piorun on niezmrzął oka,
A kiedy błyskawicą niebo się rozdarło
I zajaśniała przestrzeń, bezdenna, głę-
boka,

On powolnie źrenicę wiodąc obumarła,
Wzrok przenikliwy zatopił w niebie
Jakby przed śmiercią, za życia jeszcze
Chciał tam opatrzyć miejsce dla siebie.

Warknęły burze, lunęły dészcze,
Stał nieruchomy i śmiech szatana

Usta mu krzywił zsiniałe.

Niebo się nad nim trzaskało całe,
Ziemia się chwiała ogniem oblana —

On stał jak posąg, nie drżał, nie jęknął,
Przed gniewem bożym nie klęknął.

Ucichły burze i już zdaleka
Chmur czarnych wojsko ucieka,
I słońce jakby w poranku
Błysło w obłoczków pozłacanych wian-
ku.

On, spójrział znowu w okolo,
Scisnął usta, zmarszczył czoło,
Pytał się nieba czy koniec burzy,
Czy się więcej nie zachmurzy?

Czy już po wszystkim? Potrząsnął
głową,
Spojrzał na ziemię, na ludzi, domy,
Drzewa zielone, skał szatę płową,
Spójrział i stał nieruchomy. —

Rzucił wzrok niżej — przepaść mil-
cząca
Łakome paszcze rozwija,
I potok szumiąc z góry się strąca,
Czarna go bezdnia wypija.

Długo tak, długo, błędny wzrok to-
czył
Dolem po ziemi, górą po niebie —

W tém spójrzal w siebie — przelakł
 się siebie,
 Zadrzał i w przepaść skoczył.

POGRZEB RYBAKA.

Śpij na dnie morza, na ziół pościeli,
 Śpij Dymitrze, w zimnym grobie!
 Powiemy smutnej twojej Anieli,
 Powiemy biednej o tobie!

Powiemy że cię wzięły okręta,
 Żeś tam daleko popłynął,
 Że wrócisz jeszcze, niech cię pamięta,
 Boś ty na zawsze, nie zginął.

Ona co ranka przyjdzie do brzegu,
 I lzy jej fale wypija,
 A tam do ciebie zaniosą w biegu,
 I niemi serce obmyją!

Śpij — oto grób twój święcim modlam,
 I żagiel znaczym żalobą!
 I już płyniemy, jeszcze ze łzami,
 Jeszcze patrzymy za tobą.

Niechaj ci niebo nad duszą świeci,
 My płyniem rodziną stroną —
 Żegnaj Dymitrze! — weźmiem twoje
 dzieci!
 Chlebem podzielim się z żoną!

BURZA.

*Od najstraszniejszych w naturze,
 Straszniejsze w sercu są burze. —*

I.

Cicho — cicho — a na wieży,
 Chorągiewka się obraca,
 Słucha wiatru — staje — bieży.
 Słucha — leci i powraca!
 I najeżone czoło,
 Obraca w koło.
 A z daleka ciągnie chmura,
 Nad zachodem,
 Za ogrodem —
 Czarna — ponura!
 A na niej ognistemi piszą się głoskami,
 Przepowiednie burzy.
 Najświętsza Panno! bądź znami,
 Strasznie się chmurzy!

- »Ślijcie najmłodszą dziewczynę,
 »Niech weźmie laski pielgrzymie,
 »Z którymi za ciężką winę,
 »Szli przebaczeń szukać w Rzymie,
 »Stryjowie moi.
 »Niech weźmie z sobą dzwonek Lore-
 tański,
 »Niech się nieczego nie boi;
 »Na chmurach kładnie krzyż pański,
 »Niech trzykroć dom ten obieży,
 »Niech w kościolku na wieży,
 »Dzwon wielki uderzy,
 »Módlcie się, módlcie szczerze,
 »Chmura zachodu leci,
 »Kłękajcie dzieci,
 »Mówcie pacierze!! — «

Tak woła wdowa młoda.
 Nabożna gdy się boi,
 Zalotna gdy pogoda —
 Wola, na ganku stoi,
 I krzyżyk ściska w dłoni,
 I chmury okiem goni.

II.

A zdaleka ciągnie chmura,
 Nad zachodem,
 Za ogrodem,
 Czarna ponura.

Panie! zmiłuj się nad nami! —
 Święta Maryjo, módl się, niech w śmier-
 ci godzinie,
 Dusza będzie na straszny boski sąd go-
 towa,
 Niech pokuta się spełni i nieprawość
 zginie,
 Niech ostatnie do Boga będą grzesznych
 słowa,
 Niech się o swoje zbrodnie oskarżają
 sami,
 Niechaj w ich duszy promień Bożej
 łaski świeci,
 Królowo niebios! módl się za nami,
 My twoje dzieci!
 Święci! coście tu niegdyś żyli na téj
 ziemi,
 Co znacie serca ludzkie i słabość ich
 enoty —
 Święci! dziś uwieńczeni w wieniec
 szczęścia złoty,
 Pośrednicy, pomóżcie modłami
 swojemi.
 Z wysokich niebios spójrzyj i zlituj się
 Panie,
 Klęsk nad ziemią zwieszonych, zwróć
 ciężar daleki,
 I niech się wola twa stanie
 Na wieków wieki!
 Amen. —

IV.

A burza leci, leci, prędko, prędko,
szumnie —

I grozi rycząc, straszna, szybko się
posuwa,

Chmury się cisną, ciągną, napędzają
tłumnie —

Noc, a nikt nie śpi jeszcze, wszystko
wtrwodze czuwa.

— Matko! czy słyszysz, wicher świ-
szeze przez szczeliny,

Czy widzisz! w Imie Ojca! jak błyska
na dworze!

To noc Eljasza! — woła cichy głos
dziewczyny,

A matka rozbudzona usiada na łożu. —

— O! nie lękaj się Anno — nie lękaj
się dziecię!

Ten Bóg co nam chleb dawał, rzuca
piorun z nieba,

Cóż nam z życia smutnego, na weso-
łym świecie?

Nie lękamy się śmierci — wszak nie
mamy chleba!

Córko! módlmy się tylko i witajmy
chmury,

Bo z niemi szczęście nasze, śmierć mo-
że przyleci,

I wolna dusza uleci do góry

Uleci!

Czegożbyś żalowała i kogo na ziemi! —
— Ciebie matko! — o dziecię — my Bo-
żym rozkazem,

Jedno nieszczęście łzami zlewając je-
dnymi.

Razem biedni, do nieba pójdziem cór-
ko razem —

Czy ty byś mnie przeżyła, albo ja
śmierć twoja?

Nie! nie! jedna w nas dusza w dwóch
ciałach mieszkała!

Też same myśli w głowie, łzy nam
w oczach stoją,

Jednakowa nadzieja w sercu naszym
pala,

Że tutaj opuszczeni, biedni i nieznani,
Pójdziem z Łazarzem szukać nad ziemią
nagrody,

A ten co nami wzgardził z piekielnej
otchlani,

Będzie nas widząc błagał o kropelkę
wody!

Ale im, ani kropli! niechaj schną tam
w piekle

Jak nas dręczyli zaciekle!

Nie będę mieć litości! wszak nie mieli
oni!

— Matko! niech Bóg przebaczy tym co
nas dręczyli,

Co ozłoconej biednym nie podali dłoni,
Nie wiedzieli co czynili!

Co za grzmoty!! Boże!!

Pioruny po piorunach! matko! — ja się
boję — !! —

— Śmierci?? Córko nie bluźnij! módl
się niech w to łoże

Bóg piorun jeden ześle, jeden na nas
dwoje —

Umrzem i skończym przecie,
Nie życie, ale długie konanie na świe-
cie!

V.

Na dworze grzmot ryczy zdala,

Na dworze deszczu potoki,

W rzekach szumi wzdęta fala,

Blyskami świecą obłoki,

A tu oświecona sala,

A w sali — tańce i skoki!! —

Okna w kobierce, zasłony ubrali,

I błyskom zamknęli drogi,

I skrzypakom grać kazali,

I płynie, płynie po sali

Biesiadników poczet mnogi!
 Muzyka pioruny głośny,
 Tu wesoło, taka wrzawa!
 Miękkie tony głaszczą uszy,
 Przepychem wzrok się napawa.
 Ale w biesiadników duszy —
 Pusto! glucho! Ta zabawa,
 Jak po wodzie promień słońca
 Tylko się prześliznie zwierzechu,
 I z tego promienia słońca,
 Nic nie zostanie o zmierzchu!

O! wam panowie, wam panie!
 Niéma burzy małych chatek,
 W każdej porze na posłanie,
 Wam się zawsze znajdzie kwiatek —
 A nam biédnym tylko wiosną,
 Rzadkie, krótko, kwiaty rosna!
 Dla was są cisze wśród burzy,
 Od piorunów konduktory,
 Tysiąc światel gdy się chmurzy,
 Sto dachów od słotnej pory,
 I muzyka — co zagłuszy,
 Wszystko — oprócz głosu duszy!!—

Wam pół-bożkom, gdy ciepła wśród
 zimy potrzeba,
 Znajdziecie za pieniądze inny kraj
 i nieba,

I tysiąc błysków w niej świeci,
 I chciała jednym zamachem
 Rozbić pół-bożków, gmach złoty,
 A gniewy jej próżne były,
 On stał cierpliwy na groty,
 Wiatry go nie nachyliły,
 I piorun go nie zapalił,
 Tylko mały domek blisko,
 Biednej rodziny siedlisko,
 U nóg się jego obalił!! —

VI.

Burza leci, coraz bliżej,
 Módlcie się, bo śmierć jej bratem,
 Żegnajcie się ze światem,
 Już niżej, niżej, niżej,
 Już po nad drzew głowami,
 Ociera się i warezy,
 O ludzie! modlitwami,
 W Bogu szukajcie tarczy,
 Człowiek was nieocali,
 Ziemia i niebo się pali.

Widzisz tam szubienica i trup się ko-
 lysz, —
 A przed nim siedzi kobieta strapiona,
 A nad nim kruków głodne stado dysze,
 A pod nim wilków trzoda wygło-
 dzona. —

Droższa jest od jéj życia, roskoszy
godzina —

Starsza od matki, żona! —

Tak! jestem jego żoną — patrz — jak
się mnie trzyma,
Jak wniebo niebieskiemi pogląda oczy-
ma,

I jak milczy na twoje błagania i jęki,
Nie otworzył ust, nawet nie wyciągnął
ręki.

Idź, już na weselne gody
Lecą kruki, wrony lecą,
Błyskawice uczcie świecą,
A twój syn, — to mój pan młody!
Matko! nie oddam go tobie,
Idź sama, pociesz się proszę,
Bo mnie drogie roskosze,
A on jutro będzie w grobie,
Jutro — ci co mi go dali,
Odemnie znów odbiorą,
Przyjdź jutro nocną porą,
Będziem razem płakali,
Dziś — już uczta gotowa,
I nie nudź mnie żałami,
Jak jutro będę wdowa,
Zapłaczę z wami!

M a t k a.

Puść go! niech pocałunek oddam mu
ostatni —

Mam go w ustach i usta i serce mi pali,

Pocalunek kochanki, ojca, matki,
bratni.
Po nim pójdę — polecę, ucieknę naj-
dalej!!

Szubienica.

Nie mogę — matko, on nie twoje dzie-
cie,

Ten kogo moje objęły ramiona,

Nie jest niczym na świecie,

Ja jedna jego żona,

A matką jego mogiła,

A braćmi jego kruki,

A ojcem grabarz smętarny,

Robactwo syny i wnuki

A domem jego — grób czarny —

Idź matko — już on nie twój, już bli-
sko wesele,

Już kat nas wczoraj związał sznurami,

Świadkiem było ludu wiele,

Ty sama stałaś ze łzami,

I ksiądz co w śmierci godzinę,

Przebaczył mu winę.

M a t k a.

Ksiądz przebaczył? a ludzie wszak nie
przebaczyli,

Sami grzeszni, a kamień grzesznemu
rzucili.

Szubienica.

Jego dusza daleko — idź za jego duszą—
 A ciało moje i ziemi,
 Mnie łzy nie porusza,
 Idź ze łzami twemi.
 Ale ona nie poszła — choć burza straszliwa,
 W płomienistój szacie goni,
 Chociaż się piorun odzywa,
 I tak groźnie mówi do niej.

Piorun.

Idź kobięto! nad twą głową,
 Patrz, zwieszony czekam jeszcze,
 Śmierć na rękę moją pieszczę,
 Mów ostatnie twoje słowo!

Ale ona łzawém okiem,
 Patrzy tylko na twarz syna,
 Patrzy i z żalem głębokim
 Modlić się zaczyna. —

Nie słyszy głosu piorunów i burzy,
 Nie widzi śmierci i chmury,
 A coraz ciemniej się chmurzy,
 I wiatr silny wieje z góry,
 I szubienica się chwieje,
 I syn jój jak zmartwychwstały,
 Ile razy wiatr powieje,

Drży i porusza się cały,
 A kruki nad ich głowami,
 Żeglują skrzydły czarnemi,
 Wilcy z głodnemi paszczami,
 Wloką się wyjąc po ziemi.

W tém z wysoka piorun pada!
 Skryły się kruki i wrony,
 I wilk na ziemi przysiada,
 W pół martwy i przelekniony.

Ona się jedna nie bała,
 Bo ją żal wielki ośmielił,
 Ona jedna nie zadrżała,
 Ją jedną — piorun zastrzelił!! —

DUCHY — MELODJA.

Spójrz na te gwiazdy, Alino,
 Spójrz na to niebo bez końca,
 I na bladą twarz miesiąca
 Zwieszoną nad tą doliną.

Spójrz i pożałuj tych ludzi
 Których zamknięte powieki,
 Śpią wśród ciemności na wieki,
 I nie ich nigdy nie zbudzi!

Wielu na świecie zostały
 Matki, kochanki i żony
 I próżno wzrok utęskniony
 Za mogiły posyłały!

Leez czegoż napróżno płaczą?
 Świata i ludzi czyż mało?
 Umarłych już nie zobaczą,
 A żywych tylu zostało?

O! choćby łzami rzewnemi
 Ducha kto wywiódł z mogiły,
 Czyżby go oczy téj ziemi,
 Posła niebios zobaczyły?

Napróżno goni powieka,
 Próżno uścisk oczekuje,
 Z oczu, z uścisku ucieka,
 Jedno go serce uczuje!

BIEDNY CHŁOPIEC.

Na mojej grządce powiedły kwiatki,
 Na mojem polu, grad wybił zboże,
 I piorun wleciał do mojej chatki,
 Biedny ja biedny! zlituj się Boże!

Miałem dziewczynę jedną na świecie,
Czyż taka druga być może?
Ach i ta jedna zwiiodła mnie przecie,
Biédny ja biédny! zlituj się Boże!

Był u mnie ptaszek, co jak my gada
Piórka miał lśniące i hoże,
I mego ptaszka zjadł kot sąsiada
Biédny ja biédny! zlituj się Boże!

Miałem konika, który od młodu,
Nosił mnie nieraz w bezdroże,
I konik nawet zdechł u mnie z głodu,
Biédny ja biédny! zlituj się Boże!

Los mi grób matki jeszcze zostawił,
Tam choć popłakać syn może,
Ale pan na nim karczmę postawił —
Biédny ja biédny, zlituj się Boże!

GERHARD RUDA.**HISTORYCZNE.**

r. 1320.

(Dusburg. str. 390. Kal. VI. Augusti).

Na koń w imię Boże!
 Kto krzyż nosi na zbroi,
 Kto szablą władać może,
 Na koń bracia moi!

Powrócim w jeden dzień,
 Narabujem, nasieczem,
 Wytniemy pogan w pień,
 A sami ucieczem!

Héj wielu jest tam was?
 Czy wszyscy? stańcie w rząd.
 Mil kilka Litwa zład,
 A prędko leci czas!

Czy wszystko już gotowe?
 Na koń i w imię Boże,
 Bo nie jeden z nas może
 Dziś poloży tam głowę.

— Nie! przerwał Gerhard Ruda,
Wskazując krzyż na zbroi,
Krzyż pogan się nie boi,
Krzyż wszędzie robił cuda!

A tu cudów nietrzeba,
Miecz w ręku, w sercu gniew;
Wszak braci naszych krew
Wola pomsty do nieba!

W drogę! nim miecz spragniony,
Krwia pohańców napoję,
Pieśń do Bożej obrony
Zanuć, zda się na boje!

Zaśpiewali Krzyżacy głucho, smutnie,
dumnie,
A szable, o żelazne bijąc się pan-
cerze,
Dźwiękom pieśni pobożnej wtórowały
szumnie.

Śpiewali długo, długo i śpiewali
szczerze,
Bo gdzie o życie w sercu tleje trwo-
ga,
Tam szczere modły wznoszą się do
Boga.

Tylko Gerhard nie śpiewał zakryty
przyłbicą,

Jechał milcząc na boku, bił nogą ru-
maka,

Naglił go, potem chwycił ostrą u-
zdzienią,

I jak gdyby mu boleść dogryzała jaka,

Wzdychał ciężko, lecz westchnień nie
słyszał nikt w kolo,

Ocierał łzy — nie! nie łzy! Otarł z po-
tu czoło!

Gerhard mógłżeby płakać? on, co do
kielicha

Mieszał nieraz krew jeńców na szu-
mnej biesiadzie,

On co tylko za bojem i mordami wzdy-
cha

I niekrwawego miecza do pochew nie
kładzie!

Nie! nie! to był pot z czoła — on pla-
kać nie umie,

Serce męskie, pod zbroją okute stwar-
dniało —

Nie mógł płakać, łza sprzeczna i mę-
stwu i dumie.

W duszy jego, na łzy mu miejsca nie
zostało.

Nie, nie! — Jada krzyżacy, przez bo-
ry i błonia

Lecą, lecą i rzekłbyś spójrzawszy zdaleka,
 Że kaźden z nich przyrosły do swojego
 konia,

A koń i człowiek leci i ucieka,
 Lecą i słońce wznosi się ku górze —
 Litwy granica zbliża się co chwila,
 Lecą jak pioruny w chmurze —
 Do Litwy tylko mila.

Litwini gdzieś spokojnie,
 Po pracy spoczywają,
 I piosenki śpiewają
 I nie myślą o wojnie!
 A wojna krwią obłana,
 Leci z mieczem wzniesionym,
 Padajcie na kolana,
 Biada zwyciężonym!
 Z obcych krajów spokojnie,
 Cichy wietrzyk powiewa,
 I jakiś ptaszek śpiewa,
 Śpiewa — lecz nie o wojnie!
 W Litwie cicho wesoło,
 Drzewa w zielonym stroju,
 Owocem strojne czolo,
 Przeglądają w zdroju.
 W Litwie obchodzą święto,
 W Litwie palą ofiary,
 Nieść bogom letnie dary,
 Weselić się zaczęto.

A wojna krwią oblana,
 Leci z mieczem wzniesionym
 Padajcie na kolana,
 Biada zwyciężonym!
 Któżby myślał o wojnie, kto by w nią
 uwierzył,
 Kiedy pokój dokoła otoczy skrzy-
 dlami?
 Czyż kiedy piorun z nieba bez chmury
 uderzył?
 Czy przyszła burza sama nie idąc
 z chmurami?
 Czyliż z czarą na stole, gdy świat się
 uśmiecha,
 Kiedy wszyscy weseli dają sobie dło-
 nie,
 Kiedy gniew, smutek, zazdrość na dnie
 czary tonie,
 Każdy myśli o wojnie prędko nie od-
 pycha?...
 Lecz biada wam co w ciszy łagodnej
 dokoła,
 Przyszłej burzy początku nigdy nie wi-
 dziecie,
 Bo gdy grom, głosem nieba straszli-
 wym zawoła,
 Czy czas będzie przed burzą, unieść
 drogie życie?
 Krzyżak czuwa i czeka zręcznej tylko
 chwili,

Znów wesoło, spokojnie,
Ani myślą o wojnie.

Już słońce z jednej strony nieba zachodziło,

Z drugiej wieczór gwiazdzisty, szedł
ku nim wesoły,

Z dniem gasnącym biesiadę czas ukończyć było,

Jednak pieśń brzmiała ciągle, dzban obiegał stoły.

Cóż tam znowu w tym lesie głucho się odzywa?

Czy stado koni na noc do domu przybywa?

Czy — znów cicho — wiatr musiał zaszumić w oddali,

Może z bliskiego siola Litwini jechali.

Cicho! — Cóż tam przy blasku wieczornym polyska?

Czyli jakie na polach biesiadne ogniska,

Czy wilcy wyszli z lasów zoczył jaśnie?

Czy błędna jaka dusza włóczy się po ziemi?

Co tam? nie — cicho — ciemno — coś szumi zdaleka,

To wiatr, nigdzie nie dojrzysz zwierza ni człowieka.

Młoda, piękna, zamożna, cóż jój bra-
kowało?

W sercu rana ukryta bolała głęboka,
Bo milczała i milcząc lała lez niemało.

Lecz nikt nie zgadł przyczyny

Łez dziewczyny.

Może kogo kochała? — lecz z licem
rózaném,

Z jój ustami, oczyma, kogoby kochała,
Gdyby tylko usłyszał że został kocha-

nym,

Kochałby ją — a wówczas czegożby
plakała?

A plakała jednakże! — nieraz nocną
porą,

Gdy wieś cała usnęła, ona w oknie
chaty,

Smutna, w paluszkach jakieś obrywała
kwiaty,

Lub leżąc na pościeli nie usnęła skoro.

I słuchała bezsenna jak lasy szumiały,
Widziała w oknie księżyc jak wchodził
i znikał,

Od wieczora do ranka, dumając czas
cały

Usypiała gdy kogut nad rankiem wy-
krzykał.

Cóż jój sen odbierało? zgadł kto choć
raz przecie,

Co kiedy łzę lub uśmiech zrodziło w ko-
bięcie? —

Ja nie wiem. Tylko czasem gdy po bi-
twie jakiej,

Litwin zabrał w niewolą i przywiódł
Krzyżaki,

Biegła patrzeć na jeńców niespokojném
okiem,

Spójrzała i wracała tak smutna jak
wprzód; —

Może ją kiedy kochał jaki Krzyżak
młody?

Może — Był jakiś jeńiec w tamtej wsi
przed rokiem.

Ale uciekł z niewoli, wszyscy za-
pomnieli,

Czy był kiedy w tej wiosce i czy go
widzieli.

Tylko Daszka płakała — lecz nie po
nim pewnie.

Krzyżaka mowa dzika i Krzyżaka
mina,

Mogłyby cudzoziemskiej wpaść w serce
królownie,

Nie córce Litwina! —

I gdyby się kochali, jakimizby słowy,
Upletli pierwsze, słodkie kochanków
rozmowy?

Mógłżeby Krzyżak dumny z swego Bo-
ga, z krzyża,

Kochać poganę, która w ojców wie-
 rze,
 Kiedy on z sercem próżném czolo niebu
 zniża,
 Czcila lasy i góry i czcila je szcze-
 rze? —
 Krzyżaka Bogiem — rozboj, zdobycze,
 pożogi!
 Na sercu Boga Krzyżak, a w sercu
 świat nosił.
 Litwin gdzie okiem powiodł, wszędzie
 widział Bogi,
 Wszędzie czcil ich i kochał, dziękował
 im, prosił.
 Gdy z strumienia pił wodę, gdy w le-
 sie spoczywał,
 I kiedy go noc wiodła pod domowe
 progi,
 W kamieniu, wodzie, niebie widział
 swoje Bogi,
 W szeleście drzew, w piorunie głos ich
 się odzywał.
 Litwin w obronie tylko wzywał swoje
 Bogi,
 A Krzyżak, Krzyżak lecał z mieczem
 w cudze kraje,
 Na mordy, wojnę, na krew i pożogi,
 Swemu się bóstwu w opiekę oddaje.
 Mógłże Krzyżak pokochać Litewską
 dziewczynę,

Mogłaż kiedy Litewka pokochać Krzy-
żaka?

Nie! — przedźbyś z orłami pobratał
robaka,

Przedźbyś z aniołami pobratał gadzinę;
Niżbyś, kiedy ich strumień krwi rozla-
nej dzieli,

Litwę i Niemców z wrogów zmienił
w przyjacieli!

Spali wszyscy a Daszka nie spała, schy-
lona

W dłoń łzy swoje zbierała licząc jak
padały,

I jak z każdym westchnieniem zburzo-
nego łona

W serce, boleści nowe zagładały.

Zdała tylko drzew gluche szumiały
rozmowy,

I zdała księżyc tonął w niebieskiej po-
ścieli,

Zdała gwiazdy jasnemi połyskały glo-
wy,

Zdała sowy, puchacze, pieśń śmierci
krzyczeli.

I pies strażnik domowy wyl u wrót po-
dwórza,

A drogą cichy tentent rozlegał się głu-
cho;

Lecz gdy się dusza we śnie zmęczona
zanurza,

Czyjeż posłyszeć może szum daleki
ucho?

Daszka jedna słyszała tentent odda-
lony,

Daszka jedna widziała tuman na do-
linie,

I myślała naprózno, kto jechał z téj
strony,

W tak późnej godzinie? —

Potem wiatr z lasu szumem przypędził
zdaleka,

Niby dźwięki słów jakichś, niby gwar
rozmowy,

Niby myśl jakaś cudzego człowieka,
Cudzemi ubraną słowy.

Cicho! — pies szczeknął i jęknął bo-
leśnie,

I ustał — cicho. Znów gwar odda-
lony

Jakby rozmowa usłyszana we śnie,
Z którejś odezwał się strony.

Cień mignął w oknie? Gałąź jarzębiny
Wiatr musiał nagiąć. Szelest u okien-
ka?

Ptak może, rannój kochanek godziny,
Zbudził się — W niebie już błyszczy
jutrzienka.

Cichy głos, Daszki po imieniu wola?

Ten głos, znajomy? to nie głos Litwina.
Krzyżak? — Lecz Litwą otoczon do-
koła,

Zkąd tu? myśli dziewczyna.

— Daszko, chodź Daszko! — zabrzmiał
głos stłumiony,

Weź twoje suknie, przybyłem zda-
leka,

Po ciebie Daszko — Koń mój u wrot
czeka,

Na niebie ranek, a dalekie strony!

— Ty tu? Gerhardzie? krzyknęła dzie-
wczyna.

Ty tu? i po mnie? — Wyplakałam
Płacząc po tobie!

— Już świtać zaczyna,

Prędzej tu do mnie, ranek nas za-
skoczy!

I brzęknął zbroją, a na helmie kita

Pływała groźna, gdy potrzasał głową.

— Daszko, chodź prędzej, bo na wscho-
dzie świta,

Koń niecierpliwy uderza podkową,

Nuż kto wśród nocnej ciszy

Konia lub nas usłyszy?

A Daszka stała jeszcze schylona i blada.

— Od ojca, od mych braci mamże iść
daleko.

Ty mnie w drodze porzucisz za górą,
za rzeką!

— Niewierzysz mi? niewierzysz? Krzyżak odpowiada.

Jabym ciebie miał rzucić kiedy między wrogi

Skradałem się po ciebie pod Litwinów progi?

Chodź Daszko, ociec stary umrze i bez ciebie,

Bracia twoi po tobie pewnie nie zapłaczą!

Prędzój chodź, prędzój, ranek na niebie,

Zginę, gdy mnie zobaczą!

Mamże wracać sam jeden, drogę maczać łzami,

Albo zginąć dla ciebie między Litwinami?

Chodź! — Już szła Daszka mileżąca, wstydliva,

Ledwie ją Krzyżak uczył na żelazném ręku,

Chwycił, uścisnął, jak piórko porywa,

Niesie i na koń sadza pamaleńku.

I sam usiadłszy spina go ostrogą,

Koń, Krzyżak, Daszka polecili drogą.

Daszka plakała po rodzinnej stronie,

A łzy na zbroję żelazną spływały,

Ciekły po zbroi i w przedkim pogonie,
 Po zbroi ciche na ziemię spadały.
 A rycerz milczał, konia naglił nogą,
 Sciskał dziewczynę i lecieli drogą.

Potém jój szeptał — Nie patrz w tamte
 strony,
 Nie patrz kochana, łzawemi powieki,
 Nie żegnaj domku, ogródka na wieki,
 Bo żal ci serce chwyci w twarde
 szpony.

Patrz na przód drogi, jak przy rannym
 świcie,
 W koło nas, pola uciekają, gaje,
 Jak wszystko nowe z dniem zaczyna
 życie

Jak się wesolém wydaje.

Jak coraz dalej z za gaju, z za góry,
 Góra i laszek znów inny wyskoczy.
 Jak tam płaszczyzno nocy zsuwa się ponury
 I dzień niebieskie otwiera już oczy.
 Nie patrz za siebie!

— Ach! pozwól, mój drogi,
 Pozwól mi spojrzeć, tam tyle zostało!
 Moje pamiątki, mój ojciec i Bogi,
 I młodość moja i łez mych niemało! —
 — Nie, Daszko, niepatrz! na przedzie

przed nami,
 Piękniejszy widok — Ot tam za la-
 sami,

Jak gwiazdy gasną, jak się gonia
 chmury,

Jak dymią chatki, jak sinieją góry;
 A tam — wieś tylko za tobą została,
 Wieś leżąca w dolinie.

— Pozwól mi spojrzeć — wszak tam
 młodość cała

Biednej zbiegła dziewczynie.

Tam — uchyl ręki, niech obróce głowę!
 Raz tylko, proszę! potem choćbym
 chciała,

Góry i lasy zasłonią ją plowe —
 Potem jej więcej nie będę widziała.
 Uchyl tej ręki! potem świat do koła
 Otoczy dziki, obcy, nieznajomy,
 Inne pagórki, inne lasy, domy,
 I oko tęskne naprózno zawoła,
 Nie przyjdzie do mnie mojej wioski
 chata!

Uchyl tę rękę — Raz tylko zobaczę;
 Potem mię w wiesz do cudzego
 świata,

Ja nawet więcej po nich nie zapłacę.
 Tylko raz jeszcze pożegniam łzę moją,
 Domek i wioskę, wzgórek i dolinę.
 Chciała raz spojrzeć, lecz Krzyżak
 dziewczynę

Żelazną zasłonił zbroją.

— Nie, nie dam spojrzeć! ze śmiechem
 zawoła,

Targając konia, nagle ostrogami —
 Cóż tam zobaczysz? Resztki twego
 siola

Które się palą za nami?
 Cóż tam zobaczysz? Łunę na zachodzie,
 Dymy jak w niebo snują się kłę-
 bami?

Krew, ogień, mordy zostały za
 nami,

A nasze szczęście — na przodzie.
 Ja cię wywiozłem, towarzysze moi
 Spiających już dawno w pień wyciąę
 musieli.

Niezwracaj głowy, złóż tu ją na
 zbroi,

Jużeśmy kawał drogi ulecieli —
 Polecim dalej! Tam nie nie zo-
 stało,

Poczemby płakać miały piękne
 oczy,

Płomień i miecze zniszczyły wieś
 całą.

A kiedy płomień z wrogami otoczy,
 Z pod miecza w płomień, z płomienia
 pod miecze,

Kto zbiegł od ognia, od nas nieucie-
 cze!

Kochasz Krzyżaka, nie płacz po Li-
 twinie,

Litwin i Krzyżak wrogami na wieki!
Sto wieków przejdzie, sto pokoleń
minie,

A naszój zgody czas będzie daleki.
— Krzyżak i Litwin wrogami na wieki!

O! tak! wrogami! Daszka zawołała:
Prędzěj z górami pożenią się rzeki,
Prędzěj się z niebem zbieży ziemia cała.
Lecz ja? z uśmiechem na ustach zawoła,
Ja kocham ciebie, na resztę pamiątek
W duszy mi jeden nie pozostał kątek,
Ja chcę zobaczyć pożar mego siola,
Chciałabym słyszeć moich braci jęki,
Chciałabym widzieć, jak płomień czer-
wony,

Chwycił w uściski mój domek maleńki,
Jak spalił drzewka, spopielił zagony!
Chciałabym widzieć Krzyżaków bie-
siadę

Jak przy płomieniach grzeją się we-
seli —

Zawracaj konia, ja z tobą pojedę,
W czas jeszcze staniem, tylko co za-
częli.

— Ty, ze mną, nazad? — szalona
dziewczyno!

Więc ci już nie żal, ani wsi, ni domu?
— Dawne miłości, przed dzisiejszą
gina,

Prócz ciebie, serca nie dałam nikomu.

Pojedziem nazad! chcę widzieć pło-
mienie.

Ach! jakże pięknie nasza wieś się pali!
Zawracaj konia — po co jechać dalej?

Wrzucim w ten pożar ostatnie wej-
rzenie.

Zobaczym gruzy, zobaczym mogiły,
Zwycięskie pieśni z Krzyżakiem za-
nucę,

Zabawim chwilę, a potem mój miły
Z tobą gdzie chcesz powrócę.

Przemogły proźby i uścisk dziewczyny—
Krzyżak zawrócił, spał konia ostrogą
I nazad z gór w doliny

Puścili się drogą.

Jechali długo, prędko, czasem z pod
przyłbicy

Zajrzał Gerhard jój w oczy. W oczach
leż nie było,

Jaśniały jak dwie gwiazdy dwa oka
dziewicy,

Jak dwie gwiazdy nad mogiłą.

Zdala luna świeciła na niebie poranka,
Zdala dym wil się czarny unosząc do
góry,

Czerwone nad pożarem zwieszały się
chmury.

Patrzył Krzyżak, patrzyła Krzyżaka
kochanka,

Oboje nieptakali
I ku wiosce jechali.

Daszka milczała, lecz jój dusza cała,
Suchemi oczy na pożar patrzała;
Piersi jój szybko wznosiły zasłoną,
Milczała ciągle — byłaż zasmuconą?
Czy nie kochała w swój wiosce nikogo?
Czy jedna miłość objęła ją całą
Tak, że na inne miejsca nie zostało?

Niewiem — Lecieli drogą.
Uciekały doliny i lasy przed niemi,
Rumak pędził, kopytem nietykając
ziemi,
Za niemi kurzu tuman, płomienie na
przodzie.

Jutrzenka na wschodzie.

— Stój! stój! Krzyżak zawoła,
W imię Boga żywego,
Nie pojedziem do siola,
Litwini zwałisk strzegą.
Krzyżaków niema już!

— Nie! krzyknęła dziewczyna,
Patrz, wszak Krzyżacy tuż,
Mord ledwie się zaczyna!

Czy boisz się zabijać, gdy się nikt nie
broni?

A wolisz przyjść po łupy, gdy niema
nikogo?

Patrz! niewidzisz Krzyżackich rycerzy
i koni,

Jak pędzą drogą?

— Tam Litwini zwycięzcy, wołał Ger-
hard z cicha,

Nasi zginąć musieli, słyszę pieśń Li-
twina!

Pieśń ta, nie pieśń żaloby, naszą krwią
oddycha,

Płomień już żółte głowy ku ziemi na-
gina!

Gaśnie pożar i wrzaski zagasły, dzie-
wezyno

Nie bij mojego konia, wróćmy w da-
wną drogę!

Targnął, chciał wstrzymać, koń pędził
doliną

I nie czuł cugli. tylko czuł ostrogę,
Leciał i leciał. Krzyżak z twarzą bladą
Próżno wartkiego zawracał rumaka.

Jechali prosto, tak jak wiatry jada —
Siniały ręce, strach chwytął Krzyżaka.
Już było blisko, wyraźniejsze krzyki

Tętniały w uszach zleknionych rycerza,
Targnął znów konia — Napróżno! koń
dziki

Nie czuł wędzidla i nogą uderza,
Łbem rzuca tylko, sroży twardą grzywę,
Parska ognisty — leci prosto, leci!
Już widać Litwy gromady straszliwe,

Już bliski pożar na zbroi mu świeci.
 A Krzyżak milezy i cugłami zrywa,
 Koń bieży jeszcze, coraz dalej, dalej;
 Kiedy na pierwsze zgliszcza wskakiwali
 Pękły mu cugle — Daszka się odzywa:
 — Krzyżak i Litwin wrogami na wieki!
 Choć się ich serca przybliżą na chwilę,
 Czas pojednania od obu daleki!
 Kości ich nawet wrogami w mogile!
 Teraz koń stanie. Tym zbroczonym
 nożem,

Gnałam go tutaj. Moim bogom dzięki,
 Teraz już stanąć i odpocząć mogę,
 W koło Litwini! Czy słyszysz te jęki?
 To miecz krzyżacki zostawił po sobie;
 Widzisz ten płomień, zgliszcza i po-
 pioły?

Widzisz krwią naszą zapelnione doły,
 Bogactwa nasze, naszych braci w gro-
 bie?

A tyś się został na zemstę Litwina!
 Maszże krwi tyle ile tu dziś rano,
 Naszej krwi jedna wypila godzina?
 Czy masz łez tyle, ile dziś wylano?
 Wpadli w tłumy Litwinów, koń stanął,
 dziewczyna

Skoczyła na bok prędko, wołając ku
 swoim —

— Kładźcie stos! niech się Bogom ofia-
 ra zaczyna,

Wiozę jeńca. Krwią zemstę dzisiejszą
upoim!

— Patrz! zbladł przed śmiercią, drży
jak listek cały,

Na stos psi synu! przyszła twa godzina!

Długo się lały krew i łzy Litwina,

Krew, łzy Krzyżaka, dziś będą się
lały!

Patrz! to wasz płomień po gruzach się
wlecze,

Tę pościel Krzyżak usłał dla Litwina;

Widzisz krew — wasze wylały ją miecze,

Na stos go! na stos! na stos psiego
syna!

Niechaj się spali, on, zbroja, koń jego,

Niech wiatr popioły rozniesie daleko!

Niech jęki z wiatrem w pustynie od-
biega,

Niech raz ostatni, powiodłszy powieka,

Widzi w okolo ślad zbrodni swych
braci!

Niech śmiercią za śmierć, krew za
krew odplaci.

Predko stos chwycił w ogniste ramiona,

Chwycił Krzyżaka i objął go cały,

Żelazną zbroję płomień oblały

I kita helmu upadła spalona.

I koń, iskrzącą potrzęsając grzywy,

Parskając nozdrzem, padł z swym pa-
nem razem.

Brzękło żelazo, ściśnione żelazem,
Koń nawet jęknął, padając nieżywy
On milczał, milczał — najstraszniejsze
męki,

Nietknęły ciała, duszy niepalily,
I ust nakłonić nieumiał na jęki,
Nad boleść więcej miał dumy i siły.
Krzyżak się spalił — Daszki nie wi-
dziano.

Wstał drugi ranek, nie przyszła do
siola,

Bez niej i trzecie przeleciało rano —
Próżno szukali do koła.

Mówił ktoś tylko, że w skonania chwili,
Uszu Krzyżaka doszedł głos daleki,
Jakby go z chmury duchy zanu-
cili — —

— Krzyżak i Litwin wrogami na
wieki!

A w chatce Daszki, gdzie dawniej mie-
szkała,

Znaleźli, między ostyglém zarzewiem,
Kości i reszty spalonego ciała —
Lecz czyje było? — ja niewiem. —



**DUMANIE
NAD HORYNIEM.**

I.

Dokąd płyniesz Horyniu? z kąd plyniesz? dla czego?
Kto ci zakreślił drogę przez bory i smugi?
Kto podsycą twe wody, że dzień i noc biega?
I kiedy przecie skończysz bez celu bieg długi?
Czybyś nie wolał tutaj, przy téj kępie w koło,
Stać sobie i napróżnym nie trudzić się biegiem,
Z warkoczem wierzb i lilij swawolić wesolo
I pocichu rozmawiać z wiatrami i brzegiem?
Czybyś nie wolał w pięknym Horodźca ogrodzie,
Między klombami przesuwać się z cicha?
O! w Horodźcu tak miło i ludziom i wodzie,
Powietrze, ziemia, taką przyjaźnią oddycha,

Że ja, gdybym był tobą, tambym się
obrócił,

Popłynąłbym i został i więcej nie
wrócił.

A ty mi tylko cichym szmerem odpo-
wiadasz

I wstydzisz się zapewne, że jak człek
niestały,

Nie rad z tego, co posiadasz,

Płyniesz dalej — Lecz któreż brzegi
cię wstrzymały?

Ty płyniesz jak my żyjem — Cóż nas
zaspokoi?

Nas szczęście nie zatrzyma; szybkiej
wody twojej,

Drzewa i łąki gdy się w zieloność
umają,

Kwiaty, parowy, tamy wszak nie
zatrzymają?

O! i my tak płyniemy w nieznane kra-
iny,

I nas nie nie uwięzi, nie nas nie za-
trzyma!

Ani chatka rodzinna, majowe doliny,
Ni przyjaciel, ni dziewczę z czarne-
mi oczyma!

Zawsze pragniemy więcej — Jestże
to nam znakiem.

Że jak ty wpłyniesz w morze, my nie-
ba dopłyniemy?

Że z jednakowym biegiem z dążeniem
 jednakiem
 W padniemy w oceany — wpadniemy —
 i zginie!

II.

I tu śmierć! i tu mogiły!
 Gdzież ich niema? — Ziemia cała
 Jeśli gdzie kości nie były
 Krwią się lub łzami oblęła!
 A wszędzie ludzkie cierpienia,
 Na jej powierzchni leżą, lub spoczęły
 w łonie —
 O! gdybyż z tego nasienia
 Owoc szczęścia prawnuków mogły zbierać
 dłonie!
 Bogdajby! Ale ludzi nie odmieniają
 lata.
 Będą się bić jak bili, płakać jak
 plakali,
 Na grobach groby będą podwójne sy-
 pali,
 Będą płakać i błądzić do skończenia
 świata! —
 Tu kurhan za kurhanem — pamięć lat
 żałoby,
 Straszna pamięć Boskiej kary —
 Skinał Bóg — pola, domy, sady i ob-
 szary
 Wszystko zmieniło się w groby —!

Jeszcze dziś kości Szwedów śpią z mie-
czami w dłoni,
A nad ich głową zamiast grobowe-
go krzyża,
Sosna czolo podniosła, gałęzie uniża
I niema, litościwa mogiłę ich chroni.

U nas wszystko gościnne, jak Sławia-
nów ludy,
U nas i ziemia wrogom, co ją pusto-
szyli,
Nie odmówiła grobu, gdy w skonania
chwili,
Grobu tylko żądali za blizny i trudy.—!

III.

Jeszcze jeden pagórek nadedrogą maly—
Mniejszy, młodszy od Szwedzkich sto-
letnich kurhanów,
Na nim gałęzie suche i krzyżyk zbu-
twiały —
To mogiła! Przechodniu chwilę się za-
stanów. —
Może masz lę do zbycia, lub chcesz
westchnąć z cicha,
Złóż tu lę i westchnienie na niezna-
nym grobie,
Rzadko tu kto z przechodniów zapla-
cze, powzdycha —

Jada — idą — lecz każdy z nich myśli o
 sobie;
 Nikt nie chce śmierci wspomnieć, bo
 się śmierci boi.
 I choć czyja powieka we łzy jest bo-
 gata —
 Nie zapłacze — Łez szkoda! nie jedna
 ukoi,
 Własnego serca żale nad bolesną stra-
 tą. —

A u ludzi nie darmo — I na ich też
 grobie,
 Zapłaczą chyba krewni, że nie nie-
 dostali,
 Że nieboszczyk sam tylko pamiętał o
 sobie —
 Zapłaczą, przeklną cicho — i wędru-
 ją dalej.

My westchnijmy u flisa biednego mo-
 giły
 Wszak i on był człowiekiem! Jego
 wszystkie lata,
 Pracą tylko niewdzięczną i cierpieniem
 były —
 I cóż za te ofiary pozyskał u
 świata?

Żyjąc litościwego nie znalazł nikogo,
 Gdy tonął do ratunku nikogo nie było —
 Po śmierci ciało jego rzucili nad drogą,
 I niema nawet komu westchnąć nad
 mogiłą!! —

DZIAD I BABA.

Był sobie dziad i baba —
 Bardzo starzy oboje,
 Ona kaszląca, słaba,
 On skurczony we dwoje.

Mieli chatkę maleńką,
 Taką starą jak oni,
 Jedno miała okienko,
 I jeden był wchód do niej.

Żyli bardzo szczęśliwie,
 I spokojnie jak w niebie,
 Czemu ja się nie dziwię,
 Bo przywykli do siebie.

Tylko smutno im było,
 Że umierać musieli,
 Że się kiedyś mogiła,
 Długie życie rozdzieli.

I modlili się szczerze,
Aby Bożym rozkazem,
Kiedy śmierć ich zabierze,
Zabrała dwoje razem.

— Razem! to być nie może,
Ktoś choć chwilą wprzód skona —
— Byle nie ty nieboże,
— Byle tylko nie ona.

— Wprzód umrę — woła baba
Jestem starsza od ciebie,
Co chwila bardziej słaba,
Zapłaczesz na pogrzebie. —

— Ja wprzód — moja miła,
Ja kaszlę bez ustanku.
I zimna mnie mogiła
Przykryje łada ranku.

— Mnie przódy — Mnie kochanie!
— Mnie mówię —! Dość że tego —
Dla ciebie płacz zostanie, —
— A tobież nie, dla czego?

I tak dalej i dalej,
Jak zaczęli się klócić,
Tak się z miejsca porwali —
Chatkę chcieli porzucić —

Aż do drzwi — puk powoli
 — Kto tam! — otwórzcie proszę.
 Posłuszna waszój woli,
 Śmierć jestem, skon przynoszę. —

— Idź babo, drzwi otworzyć —
 — Ot to, idź sam! jam słaba —
 Ja się pójdę położyć,
 Odpowiedziała Baba.

— Fi! śmierć na ślocie stoi
 I czeka tam nieboga!
 Idź — otwórz z łaski swojej —
 — Ty otwórz moja droga.

Baba za piecem z cicha,
 Kryjówki sobie szuka,
 Dziad pod ławę się wpycha,
 A śmierć stoi i puka.

I byłaby lat dwieście,
 Podedrzwiami tam stała,
 Lecz znudzona, nareście,
 Kominem wleść musiała. —

DWIE CNOTY.

Kiedy to było, nie pomnę —
 Gdzie, nie pamiętam już wcale —
 Żyło jedno dziewczę skromne,
 Dziewczę, bez żadnego — ale.
 Której nikt nie zarzucił,
 Ani wdzięku, ani cnoty,
 Dla którejbyś był porzucił,
 I roskosze i pieśczęoty,
 I wszystkich dziewic kochanie!

Taka była,
 Skromna, miła,
 I co rzadko bardzo bywa,
 Tak cnotliwa, tak cnotliwa,
 Ale tak strasznie cnotliwa,
 Tak — że nawet baby stare,
 Musiały temu dać wiarę.
 A plotki, gawędy, wieście,
 Co czasem w dobrym humorze,
 Plądrują i po klasztorze,
 Biegając po całym mieście;
 O niej ciąg czasu nie mały,
 Jak oniemiały milczały.
 Oczywiście ztąd wypada,
 Ze kiedy nie nikt nie gada,
 A więc mówić nie ma o czém!
 Tak! Lecz tu na chwilę zboczym.
 W témże mieście, w tymże czasie.

Żył młodzieniec — sama cnota —
 Cały dzień nauką pcha się.
 Cały dzień zamknięte wrota,
 I nie widuje nikogo,
 I tak w ciszy, nad księgami
 Marnie pędzi młodość drogą,
 Czy się uczy? czy nas mami?
 Wszyscy szepcą i ciekawi,
 Czy go ta nauka bawi.
 Nieraz patrzą, chodzą, śledzą,
 Lecz nie dójrzeć, nie usłyszeć,
 Aż musieli się uciszyć,
 I spokojnie sobie siedzą. —
 A po całym mieście gloszą,
 Że młodzieniec cudem świata!
 Ze burzliwe życia lata,
 Naukom święci z roskoszą.
 Tak rok mija, świat się dziwi,
 Oni oboje cnotliwi —
 Chodzą, patrzą, śledzą wszędzie,
 A dopóki tego będzie??
 Mija drugi — już też dosyć —!
 Złość już język ostrzy solą,
 Już im dłużej niepozwoła,
 Szaty niewinności nosić. —
 Lecz źli darmo czas swój tracą,
 A ich nie ma złapać za co!!
 Ale cóż to było dalej. —
 Tak chodzili, tak skakali,
 Ze nakoniec wykopali,

Dla swój niezmiernój uciechy,
 Potężne jakieś dwa grzechy.
 Święci! módlcie się za nami,
 A nuż więc z temi grzechami,
 Latać po mieście,
 Stare dewotki
 Roznosić plotki
 I wieście.

I z dwóch cztery zrobili
 Z czterech osiem, tak rosło,
 Ze w jednej chwili
 Dwadzieścia się rozniosło. —
 Ach! plotki moi mili,
 To śliczne rzemiosło! —

Jak w wielkiej manufakturze,
 W plotkach podział pracy znają,
 I z ust do ust wieść puszczają,
 Rośnie w górze,
 Leci
 Święci.

I jak balon się nadyma,
 W jednej godzinie —
 Wzrasta — i ginie
 I nie, nie ma!

Ale tu nie tak się stało —
 Bo całe miasto się sili,
 A całe miasto nie mało?
 I w jednej chwili,
 Sąd zrobili.

Na nieszczęśliwych dwoje,

Którego sądu osnowa,
Była w te słowa.

„Ponieważ się nie godzi nigdy i nikomu,
Cnotliwszym się od innych pokazywać
ludzi,

Ażebym przez to drugim nie narobić
sromu,

Który złość w sercach ludzkich i za-
zdrość obudzi,

Przeto obwinionych dwoje,
Za dawne cnoty swoje,
Któremi nas wstydzili,
Mają w téj chwili,
Bez żadnej łaski, wymowy,
Polożyć swoje głowy.“

Lecz cóż się dzieje!! — Oto —

Wstaje naprzód dziewczyna,

I z naiwną prostotą,

Grzechy liczyć zaczyna,

Wypiéra się swéj cnoty —

Umierać nie ma ochoty!

Liczy kochanków, grzechy —

W kółko radość i śmiechy.

A za nią młodzian wstaje, —

Jak to mylą pozory!

Cnotliwy do téj pory,

Tysiąc grzechów wyznaje! —

O ludzie — na tym świecie —

Rzadka cnota prawdziwa,

W nich sklejone obrazki z wypadków
 miliona
 Trzeźwią duszę, do swego przytulając
 łona!

O! noc jeszcze — ach! czemuż noc skoń-
 czyć się musi,
 Tak jak się wszystko skończyło?
 Czemuż dumna swą władzą, dumna
 swoją siłą,
 Na wieki słonecznego światła nie
 przydusi?
 I nad światem objawszy czarne pano-
 wanie,
 Znim razem nas w bezdenne nie straci
 otchłanie!

Skończylibyśmy wszystko, a dziś cier-
 pień tyle
 Truje życia naszego nieprzeżyte
 chwile.
 Dziś! o myśli okropna! dziś życia kaj-
 dany
 Ciężą nam tak nieznośnie, dręczą nas
 tak srogo,
 Że za zgon jeden, za zgon pożądanym,
 Wieczność, ach! całą wieczność dali-
 byśmy drogą.

O! pamiętam, w dzieciństwie, w owym
 wieku złotym
 Nie takie miałem chęci, nie myślałem
 o tém,
 Dawniej, gdy się spać kładłem, gdy
 matka troskliwa,
 Żegnając mnie w łóżeczku ciepłuchném
 okrywa,
 Prosiłem Boga, jawnie i skrycie
 Tylko o życie!

A dziś, czasie przeklęty! dziś gdy na
 pościeli,
 Leżę bezsenny, z każdą konający
 chwilką,
 Dusza o nic się więcej modlić nie
 ośmieli
 Chyba, o jedną śmierć tylko!—

ZAWSZE RAZEM.

FANTAZYA.

Twoje lica tak świeże, tak niebieskie
 oczy,
 Twój włos złoty w ułotne zwinięty pier-
 ścienie,

I głosek twój jak arfy eolskiej uroczy,
 I lzy twoje — o biedna! i twoje westchnienie,
 I wszystko, cośmy w tobie wielbili kochali,
 I ty sama, zginęłaś w zapomnienia fali.
 Na toż się było rodzić, w morzu życia płynąć,
 Walczyć z burzą i gromem, by od gromu zginać! —
 Proch z twego ciała w grobie, dusza będzie w niebie,
 Ale ty — ty gdzie będziesz? gdzie ja znajdę ciebie?
 O! duszę miałaś piękną! lecz cóż z twojej duszy,
 Jeśli się jej świątynia na wieki roskruszy?
 Znajdę tylko proch w grobie, tylko duszę w niebie,
 A nigdzie — nigdzie ciebie!

Ty, tu byłaś na ziemi, jak ziemi królowa,
 Byłaś dla niej stworzona — tam — wyżej — tam wszędzie
 W szacie chmur twoje łono i w wieńcu gwiazd głowa.

Z skrzydłami Cherubina, nie tak pię-
kna będzie,

Jak tu była, gdy kwiatek ocieniał twe
skronie,

I biała szata drżała na dziewiczém
lonie. —

A z oczu — Boże! w oczach więcej
światła było,

Niż w dumném słońcu, które chce wie-
ki królować;

I życia tyle — tyle — jakby pod mogiłą
Nigdy to życie nie mogło się scho-
wać;

I tyle ognia — tam go w piekle niéma
Tyle, ileś ty swémi rozsiała oczyma.!!

Dawno żeśmy cię luba kochali, witali,
Dawnom cię ścisnął, pieścił! dziś, gdzie
szukać ciebie?

Proch tylko twój w mogile, dusza two-
ja w niebie,

A ty, ty już zginęłaś w zapomnienia
fali!

O zginęłaś na wieki! — póki jeszcze
w lonie,

Noszę życie, z niém pamięć w duszy
mojej skryta,

Jak nad gruzami zamków ranna gwia-
zda świta —
Ja umrę, twoje zemną wspomnienie u-
tonie!

I nikt na téj szerokiej, skamieniałej
ziemi,
Nikt, ktoby cię pamiętai, ktoby na
twym grobie,
Szukał cię, wołał, wzywał powieki
łzawemi.

I westchnął raz za toba, raz wspomniął
o tobie!

Patrz! czas leci i skrzydłem wszechwła-
dném zamiata,
I ludzi i pamiętki i wielkości świata —
Tyś poszła, a ja pójdę — jakbyśmy
nieżyli —

Urodzim się, pocierpim — umrzemy
w pół chwili!!

A ziemia, jeszcze nam może
W swoim łonie pozazdrości,
Miejsca na zimne łożo?

Wyrzucą nasze kości.

I nowy jaki tułacz zstępując do dołu,
Zgniecie, rozsypie resztki naszego po-
piolu! —

Zginiemy!! — Zginać było odwiecznym
roskazem —

Zginiem luba na wieki — Gińmy — byle
razem!

I ginać lżej jest razem! — Niechby tam
w mogile,

Proch nasz razem się zsypał — połą-
czył na wieki.

Ach tu, tutaj nas przeszłość rozdziela-
ło tyle!

Duszą byłem przy tobie — a ciałem
daleki!

Któż wie? może mnie piekiel czekają
katusze?

Niech się prochy łączą, gdy niemo-
gą dusze! —

Jeśli mają zapomnieć niech zapomną
razem.

Ty i ja nierozdzielni — zginiemy o-
boje —

Oboje zaśniem dumnym przyciśnieni
glazem.

Nad żywy uścisk świata, wolę łoże
twoje

Zimne, ciche i ciasne! chyba we dwa
wieki

Odgrzebie nas dłoń ludzi, ujrzą ich
powieki,

A potem znowu długie, nieprzespane
 lata
 Spać będziem, luba razem do skoń-
 czenia świata,

A tam nad nami ludzie będą jeszcze
 żyli —
 Tam człowiek feniks, co się odradza
 z popiołu.
 Będzie się rodził, cierpiał, umierał
 w pół chwili,
 Przekaze synom życie, sam zstąpi do
 dołu!

A ci synowie nad głowy naszemi,
 Będą panami pięknej, ukochanej ziemi.
 Będą witać jej wiosny, płakać nad
 jesienią,
 Zgadywać tajemnice, których nieod-
 gadną,
 Targać się na jej prawa, których nie-
 odmienia —
 I roić nieśmiertelność, aż się w grób
 pokładną!!

Tam będzie wojna wrzała, krzyki roz-
 legaly,
 Będą śpiewy wesole bując po nad
 światem —

A my cicho, spokojnie, prześpim czas
 ten cały,
 Póki z ziemi ostatnim nie zbudzim się
 latem.

W ówczas! co za dzień będzie, ty
 wiesz jeden Boże,
 Wszystko co kiedy zmarło, z tym się
 dniem obudzi,

I my porzucim długich wieków łoże —
 I pójdźmy razem z milionami ludzi.

W obłokach będzie stać Tron Naj-
 wyższego,

Ku niemu wszyscy korząc się przy-
 biega —

Z nimi ich czyny wszystkie, ich serca,
 ich dusze —

On dzielić będzie niebo lub katusze —
 Śmierć albo życie! — Przy aniołów
 chmurach

W złotych gwiazdach wybranym swo-
 im da mieszkanie,

U stopni swego tronu w lazurowych
 chmurach! —

Módlmy się luba! ¶ Straszne byłoby
 rozstanie. —

O! i tam bądźmy razem! jakeśmy tu
 byli.

Jeszcze przez całą wieczność kochać
się nam trzeba,
Bo tu, tu tylko nędzne żyliśmy pół
chwili,
Wznieśliśmy się raz tylko — i upadli
z nieba!!

Olizarowski

Tomasz August

urodził się r. 1814. na Wołyniu. Długo nie czuł w sobie najmniejszego powołania do poezyi, przykładając się w szkołach bardziej do matematyki, tylko przypadkowo czasem sklecił kilka wierszy; wiersze te choć wcale nie złe, stały się jednak przedmiotem żartów i wyszydzeń z strony jego współuczniów. Żarty te i drwinki były jednak bodźcem dla niego do pracowania w tym przedmiocie, tak dalece, że z zapalem rzucił się do robienia wierszy. Szczęściem jeden ich zeszyt wpadł w ręce p. Korzeniowskiemu jego nauczycielowi języka polskiego, który poznał

*talent ukryty; polubił go i zachęcał do pracy. Z jego poezyi wiele pozostało i zaginęło w Galicyi. W Sławianinie p. Jaszowski umieścił jego Sonety, a S. Milewski osobno wydał r. 1839. *Exercycyje poetyckie.* —*

KRZYŻ W PEREDYLU.

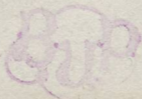
(Powieść Wolyńska.)

Objaśnienie.

Powieść o Krzyżu kamiennym w Peredyłu, tocząc się z ust do ust wieśniaków, dostała się do posiadacza siola, skąd do Wydawcy.

Hordy Tatarów, drapieżnym, właściwym sobie obyczajem, z ogniem, strzałą, kandżarem i arkanem, uganijając po ziemiach ruskich, nakryły zniszczeniem mnogie aż po Bug siola, pomiędzy niemi i Peredył. W Peredyłu, kraśną dziewczynę, pasącą trzodę, Tatarzy ując do jassyru (niewoli) pomknęli się: ta w ucieczce niezdolając wynaleść ratunku, rozkrzyżowawszy ręce, zawolała = *ratuj mię Boże!* = i w téj postawie skamieniała.

Oto treść powieści, z której autor korzystał. Osoby historyczne, jako Han Islam i Wojewoda Firlej, wchodząc



do powieści, postawily jęj machineę w czasie, kiedy okolica, do której powieść należy, pilnie przetrząsana jassyrami, grabieżona, palona i krwią myta była. Na te czasy przypada, wcześniejsza nieco: bitwa pod Sokalem.

DOBA PIERWSZA.

I.

Wiosna kwitnie w okolo.
 W Peredyłu wesolo:
 Dzieci skaczą po drogach,
 Starzy siedzą na progach,
 Wiodą stare rozmowy,
 Albo patrzą na dzieci. —
 Młody, wonny dzień świeci.
 Pieśnią sady, dąbrowy —
 Pieśnię słowik ich uczy.
 Za sadami staw luezy,
 Chorągiewki trzein wieją —
 Lica wody się śmieją —
 Niebo, słońce w nich plywa.
 A na łące, śród woni,
 Strumień z sobą w przegoni,
 Wszystkim brzegom przygrywa
 Na harmonice fal.

II.

A na łące dziewcze śliczne
 Pasię krowy — Ah! kryniczne
 W lecie wody, nie tak zdrowe,
 Nie tak świeże, jak jój oczy,
 Jak jój oczy lilijowe.

Czy to Anioł? Czy uroczy
 Duch dąbrowy lub lewady, ¹⁾
 Dla igraszki albo zdrady,
 Przybrał postać dziewczki wiejskiej?

I ot! w nucie czarodziejskiej
 Ośpiewuje niwy, łąki
 A słowiki i skowronki
 Jój piosenki biorą w siebie —
 I po ziemi i po niebie
 Ptasim chorem je roznoszą.

Kraśna Pazia jest rozkoszą
 Peredyłskiej okolicy,
 U niejednej krasawicy
 Gdy zakwitnie lico cudem,
 Miłość, przyjaźń — nudą, trudem;
 Cnota rośnie od niechcenia,
 A lza niby kropla wody
 Zaczyniona do kamienia

1) Sławianie także mają swoje Nimfy leśne i wodne; mają duchy opiekuńcze dolin, łąk (lewad) gór i pagórków; mają Rusalki, Switezianki, Dziwożony, Księżniczki i t. d. —

Dziwną dłonią przyrodzenia;
 Pazia takićj nie ma złości.
 Kto zna Pazię, niezna szkody
 W szczęściu, cnocie, pobożności
 W spokojności i miłości. —
 I jest pismo u nićj w twarzy:
 »Wszystkim ze mną się uśmićhać;
 Lecz jednemu do mnie wzdychać.« —
 I to pismo w ciąż się żarzy
 W głębi oka, w głębi czoła.
 Żal się ziemio! Bóg powoła
 Niezabawem Pazię k'sobie;
 A w rodzinném Pazi siole
 Będzie gorzćj niżli w grobie!

III.

Cóż to? gdzie słońce? słońce wysokie:
 Czy zbiegło z nieba i poszło w pole
 Dalekie, albo w puszcze głębokie?
 Cóż to za chmury nad lasem rosna?
 A rosna sporo; — już leżą przodem
 Na środku nieba, a wschód z zachodem
 Łapią bokami. Wiosno o wiosno!
 Na co ci chmury? — Wy zaś o chmu-
 ry!
 Sprawione w orszak łzawy, ponury,
 Skąd się bierzecie? czego tu chcecie?
 Stójcie! powiedźcie: co to niesiecie
 Na swoich piersiach? polarną zorzę?

Czy żygające krwią majestaty?
 Czy królów we krwi zmaczane szaty?
 Nie! — to, na ziemi złapane morze
 Krwi ruskiej, chcecie zamieść do rajy!
 I nie! to — łuno! łuno czerwone!
 Łuno sąsiedzkie! —

O śliczny Maju
 Z czém ty przychodzisz? — Twoje
 zielone
 Dłonie, śmierć czarną niosą, i myją
 Świat pożarami! —

IV.

W siole psy wyją
 Niby na wojnę; — lecz gdzież tu wojna?
 Ziemia na świecie leży spokojna —
 I oręż Laszy po domach drzyma,
 Od Peredyła sto mil w okolo
 Nie slychać, nie czuć wroga: więc
 nie ma.

Ale ze świetlic wylazi czolo,
 Za czołem oko idzie za okiem,
 Smutek za smutkiem, trwoga za trwo-
 gą —
 — Łuno! — krzyk jeden poszedł oblo-
 kiem —
 — Łuno! — krzyk drugi pociągnął
 drogą;

Krzyk szedł za krzykiem, łuno za łunem;
 Dymów, chmur całun szedł za całunem —
 Niezatrzymany promieniem słońca,
 Ani promieniem zemsty — piorunem.

V.

— Snać nie daleko światu do końca! —
 Ozwał się Lewko syn Kurdyszowy,
 Młodec kraśny, parobek zdrowy:

Jak szeroka wieś i długa,
 On sam jeden do wszystkiego:
 Do dobrego i do złego;
 Do siekiery i do pluga,
 I do cepa; — do hulania,
 Do przyjaźni do kochania.
 W cerkwi także niepośledni
 Tam on śpiewak niepowszedni,
 Niby sam Diak; przy nim diaczki?
 Przy słowiku gęsi, kaczki —
 Na dożynki, ²⁾ zaręczyny,
 Wieczornice, na prężniki, ³⁾

2) Kiedy sierp skończy robotę w polu żniwiarze i żniwiarki wśród śpiewów właściwych chrzędowi skrońmi dziewic przynoszą do dworu wieniec, żytny i pszeniczny; za co wódką i muzyką nadgrodzieni, wieczor tańcem i pijatyką zabywają. Obchód zowie się Dożynkami. —

3) Prażnik albo prażdnik, święto odpustowe, iść na prażnik to samo co iść na odpust. —

Na wesela — on jedyny,
 Przy nim chłopcy, chłystki, smyki.
 Czy to w karczmie, czy na stypie,
 Czyto w dobrą, czy w złą porę.
 Jego oko zawsze gore
 Jego lica upiór szczypie. 4)
 Krew ukropem w sercu kipie —
 Dwa lwy siedzą mu w ramionach—
 Oj! lżej dychać zającowi
 W stepowego orla szponach,
 Anizeli człowiekowi
 W dłoniach Lewka. »O! ten chlo-
 piec,
 Mówią starzy, mógłby kopiec
 Zmiejsca w miejsce przekorzenie,
 I dwa konie bez uzdzenie,
 Między wilki zaprowadzić;
 Mógłby całą wieś przesadzić,
 Jak chmury wiatr przesadza,
 Tylko jemu chęć zawadza.«
 — Zda się, wschodzi koniec świata,
 Licha, sumna to godzina!
 Gdzieżto moja, gdzie dziewczyna,
 Miła moja? w oczach lata
 Chęć zobaczyć lica miłe,

4) Wyrażenie, mające tak oznaczać twarz rumianą, jak twarz bladą oznaczałoby wyrażenie, jego lica upiór ssie. Są tu i owdzie gadki o upiorach, mertwiecach, nocnicach, kołbukach wypijających krew z dziewic i dzieci.

W uszach igra chęć słuchania
 Milój mowy i wzdychania;
 Serce rośnie w nową siłę,
 Do wszystkiego — do kochania.
 Co ma upaść niech upada!
 Nie smucić się, lepsza rada. —
 Klasnął w dłonie, i poskoczył
 Przez ogrody, ploty, rowy;
 I na łąkę zwawo kroczył,
 Kędy Miła pasie krowy.
 Wzdłuż — wszerez łąki lśknia lota-
 cze, ⁵⁾
 Śpiewa strumień, pszczoły brzęczą,
 Krowy ryczą; Pazia płacze.

VI.

Pazia.

Pod lunami siola klęczą —
 Pod lunami stoją lasy —
 Pod lunami leżą pola —
 Nieszczęśliwa ludziom dola!
 Jakież dla nich przyszły czasy!

5) Łotacz (tussilago) drudzy Kaczyńcem zowią. Kaczyńiec (taraxacum), kwiat, knieć, podbiał trzeci, śmirgiel; ziele znajome dla kwiatu swego żółtego, od którego majowe masło żółtawe się staje. Gdy kwitnie zbierają go z zieleciem i suszą; a parząc po garści codzien i z paszą krowie dając, przez całą zimę będzie majowe masło.

Chrzestni tam ojciec i chrzestne matki,
I rowieśnice i dzieci kwiatki
Placze zawodzą przy zgorzeliskach!
Gdzież mnie pociecha?

W moich uściskach!
Zawołał Lewko, płacz nie nie nada.
Nie płacz o Miła! —

— Oj! biada, biada!
I obie dłonie na licach kładnie;
Niby przed Miłym smutki swe kradnie,
A między palcy perły łez wiszą,
Piersi szlochaniem wciąż się kołyszą.

Lewko westchnawszy do Lubój swój
rzecze:

— Ej! wolę widzieć jak męska krew
ciecze

Niż łza niewieścia; mnie do sposoby,
Kaduk zna na co, te twoje żaloby!
Mnie ręce stygną, mnie serce zamiéra;
Gdy kraśne lico tak się poniewiéra,
Gdy słodkie oczy we łzach gorzkich
mokną

I twarz wygląda jak na słońcu okno.
Nie pomrą z głodu: taż to w naszym
siole

Jest dosyć chleba? — nie zaśnie ich
pole:

Bo my wraz pójdziem rąkami naszymi,
I nasze ziarno pójdzie do ich ziemi.

Ich dzieci będą u nas póty skakać,
 Póki rodzice nieprzestaną płakać.
 Ot! i ty nie płacz! — Już połowa Maju,
 A ty nie myślisz nic o korowaju; ⁶⁾
 Ja jeszcze jaką przeczekał niedzielę;
 A potem — spraszam ludzi na wesele.
 Oh! Miła! sercu zaczyna dopiekać;
 Ja nie wytrzymam! męczy mię tęsknica!
 Niech co chce będzie, dłużej nie chcę
 czekać,

Nie mogę dłużej! — Jutro wieczornica ⁷⁾
 U twoich Rydnieh, ⁸⁾ to ja jutro rzeknę
 Dajcie mi Donię! ⁹⁾ — A jak mi nie
 dadzą

To mi i góry w drodze niezawadzą;
 Choćby do piekła ja z domu ucieknę!
 Pójdę do Diaka, niech do Popa wiedzie;
 Niech téj niedzieli zacząną zapowiedzie. —
 — Czekajno Miły! — słuchajno mój
 Miły!

Ja sama zostać czemuś nie mam siły?

6) Korowaj gatunek ciasta. Narzeczeni obcho-
 chodzą po siole i zbierają błogosławieństwa; w
 upominku rozdają korowaj, ubrany w barwinek,
 rutę i inne rośliny i kwiaty.

7) Wieczornica, wieczorynka. zebranie się wie-
 czorne.

8) Rydni, rodzice.

9) Donia, córka.

Niechódź lub razem chodźmy już do
 domu;
 Lecz tu pilnować trzody nie ma komu—
 Miły mnie w głowie, jakbym się na-
 jadła
 Lulku, ¹⁰⁾ dendryny; ¹¹⁾ — jabym so-
 bie siadła; —
 Ale się boję — jabym się schowała...
 — Dziewczyno moja! czyś ty oszalała?..
 Pazia zamilkła. — Lewko dookoła
 Powiódł oczyma i ujął w objęcie
 Strapioną dziewczkę i dał do jęj czola
 Dwa pocałunki, niby dwie pieczęcie;
 Serca i duszy.

VII.

Nad strumieniem płacze
 Wierzba samotna. Leci wrona siwa
 Siada na wierzbie, dziób ostrzy i kra-
 cze;
 I leci kawka, i na wierzbę zlewa
 Skrzydła z powietrza; i tak się odzywa:

10) Lulek, rodzaj rośliny (hyoscyamus), roślina ta pod imieniem blekotu dobrze znajoma; obrzydliwie śmierdząca, jadowita, wewnątrz zażyta zawrót głowy i szalenstwo sprawuje.

11) Dendera (datura) durman, szalęj; roślina podobnych własności co blekot. —

— Wrono! czy byłaś na wielkiej biesiadzie,
Czyś była znami?

Wrona zaś odrzeczę:
— Gdziebądź po ziemi Tatar stopy kładzie,

Tam moje skrzydło po powietrzu ciecze;
Zaledwie wiosna Ruska się narodzi,
Za Perkopem już ja głodna kraczę;
Lub kędy wielki Dniestr wodami chodzi,
Tam ja strażniczką po wybrzeżach skaczę;

A skoro strzały, handziary obaczę,
Radość, nadzieja wnętrzości mi słodzi;
Podnoszę głowę; dziób, skrzydła rozkwieram,

I gdy posłyszę: kiedy? w jaką stronę
Polecą strzały? wraz im się wybieram
Naprzód; i wzywam każdą siostrę
wronę,

I co najstarsze idziem w mądre rady:
Wraz wy krzykliwe i gawrony głupie
I piękne kruki, stajecie mi w kupie;
Ja was prowadzę na one biesiady,
A ty mnie pytasz — czylim z wami
była?

Byłam i będę! tylkom się zmęczyła;
Wypocznę trochę.

Kawka.

A co tutaj będzie?

Wrona.

Co? to co bywa po Tatarach wszędzie!

Kawka.

Co będzie z łąki?

Wrona.

Kawał wdowięj ziemi.

Kawka.

Z trzody co będzie?

Wrona.

Kości! między niemi

Dziób nie wyszuka mięsa ani cząstki —

Kawka.

Jakto nie dla nas?

Wrona.

Może żyły, chrząstki.

Kawka.

Co będzie z ludzi?

Wrona.

Z ciała, my lubeńko,

My ich rozbierzem — sza — sza! —

Pazia ręką

Machnęła. Wrona skrzydły wylęklemi

Uciekła z wierzby; a kawka przysiadła

Coś podumała, i na wiatr wypadła.

Pazia i Lewko mileżą pełni zdumień;

Staw huczy zdala, tuż bełkocze stru-

mień.

VIII.

Dał się slyszeć krzyk: Alla!
 Las okrzyknął to słowo;
 I zamilknął na nowo.
 Ziemia Ruska zadrzała.

Dymno górą i dołem;
 Tlą pożary: a słońce
 Zda się leży popiołem
 Gdzieś na polu, na łące.
 Tlą pożary na okolo;
 W zamieszaniu całe siolo:
 Kojąc dzieci płaczą matki,
 Widząc matek lzy w płacz dziatki,
 Psy wciąż wyją. Niebo nagle
 Poczerniało; jakby spłynął
 Czarny korab i rozwinął
 Tak szerokie jak świat żagle.
 Ah! to kruki, kawki, wrony
 Z za Topira ¹²⁾ wyleciały;
 Nad Peredyl przyleciały
 I w chór straszny zawrzęszczały. —

IX.

W cerkwi w święte biją dzwony. —
 Lud, z niecałym już rozumem
 Po wsi gwarnym chodzi tłumem;

12) Topir, góra około Peredyla.

Pop wśród tłumu z krzyżem w dłoni,
Żegna, wola: — Niech Bóg bro-
ni! —

Przyszli do starca, który stał z boku

— Ah! ojcze, co to waszemu oku?

Nie pozwykłem wy coś patrzycie!

Oj! oj! wy jeszcze coś tam widzicie?

Spytali młodzi, odrzekł im stary:

— Nie kilka razy widziałem ja to!

Pan Bóg nam wiosnę posyła na to

Żeby tu w gości szli znią Tatarzy! —

— „Tatarzy!“ — Wszyscy dziko wrza-
suęli;

Jedni w płacz; drudzy na ręce trwożne

Chwycili dzieci i na bezdrożne

Lasy pobiegli; inni niechcieli

Wierzyć staremu; — młodzi znów rzekli:

Powiedźcie ojcze, skąd wy wywlekli

Złą przepowiednię?

Starzec z uśmiechem

Wskazał na wrony.

Niewierczcie z lichem!

Wierczcie, niewierczcie; ja wam to mó-
wię

Co starem okiem i uchem łowią:

Wszak ten obyczaj żyje w przyrodzie,

Że skoro Tatar na Ruś się wlecze
Wprzód morze kawek, wron, kruków
ciecze. ¹³⁾

Znają to mnodzy w ruskim narodzie
I wy się rychło o tém dowiecie
Jeżeli chcecie, ratujcie życie.
Strach padł na wszystkich; wszyscy ja
stali
Tak się rozbiegli i pochowali.

X.

Wzdłuż i w szerz siola groźny okrzyk
bieży:

— *Allah! Bismillah!* — I wraz każda
chata

Przepasuje się płomieniem, oplata; —
I całe siolo w dymie, ogniu leży.

Pośrodku siola cerkiew święta kłęka

W węgle i popiół — i dzwonica stęka

Wypuszczająca z dawnych objęć dzwo-
ny.

Dwór na pagórku, rzędnie okolony

¹³⁾ Więcej może niżeli inne narody, Ruski miał i ma wróżbitów i wróżek między ptactwem. Jasknička przepowiada burzę, przepiórka deszcz, kukułka zamęcie, puszczyk śmierć, sroka gości, i t. d. Gromady wron, kawek, gawronów i kruków, poprzedzały napad Tatarów.

Staremi lipy, jeszcze stoi cały;
 Lecz oto pędzą tam synowie Alfy,
 I w dłoniach mają główne rozżarzone.
 O dworze piękny! w jaką pójdziesz
 stronę

I w jaką stronę wiatr poprowadzi,
 Skoro wróg ogniem z pagórka cię ssa-
 dzi?

Wodny młyn nawet, co urosł na wo-
 dzie,

Nie zdoła siebie od ognia ratować;
 I musi także do martwych wędrować
 W postaci dymów.

O biedny narodzie,
 Ruski narodzie! ty, nigdy bezpiecznie,
 Nigdy w najmilszej nieżyłeś swobodzie!
 Napastowany od łupieżców wiecznie
 Wiecznie w płomieniach Salamandrą
 żyłeś;

I jak Pelikan własną pierś ranileś;
 Ale czyż kiedy miałeś pocieszenie,
 Ześ własnych dziątek ukoił pragnienie!

XI.

Tatarzy we wsi palą, plądrują,
 Jak czarci w piekle gospodarują;
 Ludzi im braknie: w ściekłym rozgwa-
 rze

Tu — tam pyzata twarz się pokaże.

Na koniu pędzi i ludzi szuka.
 Śród ognia mignie jak twarz kaduka,
 W ciągłym rozgonie poblądzi w siole
 I fach! — przeleci w łąki, las, pole.
 Han Islam woła: — Czyż do Jassyru
 Nie mi nie dacie z téj okolicy?
 Psy, nieznajdziecież dla siebie żyru,
 A dla mnie kraśnej ruskiej dziewicy?
 Samże tu popiół po nas zostanie?
 Czyż tu psa Giaura żadnego nie ma?
 Krzyknęła tłuszcza: żadnego Hanie! —
 A więc Han Islam pyski nadyma,
 Roziskrza oczy, handziarem błyska;
 Uderza Mirzę; krew z Mirzy ciecze
 Han mu podaje kumys, ¹⁴⁾ a rzecze:
 — Niech kędy stąpie ludzka krew try-
 ska! —
 Resztę słów — czarką kumysu zalal.

XII.

Ogniem południa dzień się rozpalal.
 Wiatr młody z dymem w powietrzu
 szalal.
 Nieznać, och! nieznać, tutaj dziś
 wiosny!
 Ani skowronek nuci radośny;

14) Kumys, napój Tatarski z kobyłego mleka przyrządzony.

Milczą przepiórki, milczą słowiki;
 Tylko Tatarów wrzask słyhać dziki —
 Tylko niekiedy wyjdzie westchnienie
 Z lasu lub pola w niebios przestrzenie —
 Tylko zakrzyczy całe powietrze,
 Kiedy z łupieżców głosem się zetrze —
 Tylko Wołyńska ziemia zatętni,
 Pod kopytami Tatarskich koni!

O Lachy! jeśli wy już niechętni
 Bronić Ruś biedną, któż ją obroni?
 Gdzież są Haliccy dzielni rycerze,
 Co pod Sokalem za Ruś walczyli?
 Ziemia i Bugu! coście zrobili
 Z rycerzami Rusi? — Któż wam od-
 biera

Coście zabrali łakomce wieczni?
 — Rycerze Rusi leżą bezpieczni,
 I bezpieczniejsi niżeli w trumnie,
 Bug odpowiedział: pod falą u mnie —
 A za nim ziemia: — u mnie pod trawą,
 I pod kwitnącą na wieki sławą! —

XIII.

Ruś - że już nie ma rycerzy więcej?
 Ma! — Ma! — we Lwowie są jeszcze
 tacy

Którzy z wrogami staną do pracy.
 Niechże się spieszą! Firleju prędj,

Zwoluj rycerze i Wołyniowi
Zagraj pomocą przeciw Hanowi.

XIV.

Co też na łące widać i słyhać?
Tętnią kopyta: Tatarzy lecą;
Po całej łące handziarni świecą.
Pazia zaledwie może oddychać
I do Milego tuli się biedna.
A Miły rzecze: Paziu uciekaj! —

Pazia.

Jakże ucieknę ja sama jedna?

Lewko.

Uciekaj Paziu! na mnie nie czekaj!
Ja, tu zostanę; ty bieź do siola. —
A w tem Tatarzy stają do kola:
Jedni z zjajani biegną do wody;
Drudzy zgłodniali biegną do trzody.
Pięciu zostało: chcą krasawicę
Żywcem na żertwę zawlec Hanowi.
Lewko wytrzeszczył groźne źrenicę
— Oj! niezaczepiaj wraże! przemówi:
Wprzód surowej najesz się ziemi
Wprzód krwi własnej wiadro wy-
pajesz
Nim Pazi dotknieź dłońmi swojemi! —
I na Tatary wściekle się miota.
Schwycił jednego — ten wraz belkota;

Dziewcze co prędzej do pocziwego
 Bieży strumienia i czerpa wodę;
 Aż jakiś kamyk co na dnie leży
 Tak się odzywa: kto mi zawierzy
 Temu powrócę najmiłszą szkodę. —

Pazia.

Dasz-że ty zdrowie memu Milemu?

Kamyk.

Zawierz mi! weź mię — przyłóż do
 rany;
 Jad i śmierć wyszę —

Pazia.

Mój ty kochany!
 Jeżeli dasz zdrowie Milemu memu,
 On w szczere złoto ubrać cię każe,
 Ja cię do Ławry zaniosę w darze,
 U matki - Bożej z pokłonmi złożę. —

I bierze wodę i kamyk bierze;
 I wciąż wzdychając, mówiąc wciąż,
 Boże!

Skrapia twarz wodą, kamyk przyklada.
 Lewko się cuci, smutnie powiada:
 — Uciekaj Miła! niech cię Bóg strzeże
 Jeszcze są wrogci — mnie już ot! —
 niema.

Mnie już za plecy mocna śmierć trzyma,

Krew mą przesysa — oh! bywaj zdro-
wa! —
Zamilki — i w sen się stoczyła głowa.

Strumień.

Jakże lekarzu, czy masz nadzieję?

Kamyk.

Wiele mam pracy. Jaszczurecze jady
Tak mają we krwi głębokie ślady,
Ze co minuta na siłach mdleję;
Lecz ty strumieniu nie bądź w obawie:
Każdą krwi kroplę u siebie miałem
I każdą szczyrę już przesmoktałem
Już mam u siebie wszystek jad prawie.

Chór tajemniczy.

Pod twą opieką błogo choremu
Matko przyrodo!

XV.

Tatar bez ręki na koniu jęczy;
Pazia splakana przy Miłym kłęczy:
— Zasnął Milenki! zasnął Milenki
Na cudzych trupach i na krwi swojej;
A mnie zostawił w niedoli mojej,
A mnie snu nie dał! — Oh! ty bez
ręki,
Kadueczy synu! — czyś nie miał drogi
Lepszej na świecie, żeś tu po męki
Przyleciał koniem? Zasnął mój drogi!

— Leccie! szukajcie! —

Więc poskoczyli,
Do bezrękiego jeźdźca zбочyli; —
Noga Tatarą zagrzesła w strzemie,
Głowa zamiata zieloną ziemię,
A krew pokrapia łoszaka ślady;
Zaczem stanęli wszyscy do rady;
Wrzasnęli: Alla! i gdzie postrzegli
Krew bezrękiego, tam koniem biegli.

XVII.

Tym czasem Lewko ze snu wstał zdro-
wy,
I z miłą swoją wiódł dwie rozmowy.
W jednej rozmowie pytał: gdzie wrogi?
W drugiej rozmowie wołał: uciekaj!
I w domu na mnie jak można czekaj. —
— Pojdziesz ja — pojdziesz! ot! i wśród drogi
Umrę bez ciebie! — Dziewka odrzekła;
I żalem chwiana, łzami ociekła,
Odeszła. — Lewko poblądł, a ciało
Jakby ze szpilek zabawkę miało
A dusza jakby połknęła piekło.
— Na złe ja urosł, złe nie ominie!
Raz mać rodziła, raz człowiek ginie!
I nie niecze co się przewlekło!
Albo Tatarom wydrę chudobę
I znowu zaczę szczęśliwą dobę;

Albo niewrócę w domową ścianę,
I z białym światem wraz się rozstanę!—

Pochwycił handziar i wznosił do góry;
I szedł na wrogi: szedł, naksztalt
ehmury

Niosącój piorun. —

W tém strumień przemówi:

Stawie! mój ojcze! przyjdź w pomoc
synowi! —

Ponurem szumem staw odpowiedź głosi;

Co większe fale zwoluje, podnosi —

Wodospadami do strumienia wali.

Po trupie młyńa. Strumień prędko
rośnie

A brzegi nikną; już strumień radośnie

Biega po łące; coraz dalej — dalej

Biega wodami, lotacze nakrywa

Srebrną fal płachtą; krów brzuchy u-
mywa

A na Tatary ze wściekłością pluska.

Znaj dziki wraże, że to ziemia Ruska!

Że tu strumienie nawet mścić się mogą!

Znaj krwawy wraże, że bezkarną
noga,

Nieprzejdiesz Rusi! — o! uciekaj,
wraże!

Albo cię ryby i raki w szuwarze, ¹⁵⁾

A gady w bagnie rozbiorą do kości!

15) Szuwar, zielsko wodne.

Tatarom cheiwcom żal porzucać trzo-
dy;

Łapia na arkan i powoli wleka
Ku brzegom łąki. Do brzegu daleko,
A strumień ciągle ma ze stawu wody;
A już jeziorem wielkiem gra po
ziemi,

I strach szeroki roznosi w okolo.
Czemuż nie może zejść do wody siolo
I z lun się obmyć? tylko nadbrzeżnemi
Chalup zgliszczami smutnie się prze-
ziera

W wielkiem, szumiącym, niespokoj-
nem stekle.

XVIII.

Wieczor się rodzi, dniowy blask wy-
miera;

A miesiąc, niby biały Anioł w piekle,
Błąka się w dymach i w czerwonych
lunach;

Czasem, jak trupia głowa na całunach
Leży na chmurach. — Nieludzki po-
ganin

Czego niezabrał, niesplądrował — spalił;
Napoit konie i Ałłę pochwalił. —

I pognął dalej szukać nowych danin
I nowych ofiar. —

Po polach psy wyją;
 Wieśniacy hurmem z jam do jam prze-
 chodzą

A ich niewiasty smutnie w dłonie biją,
 Patrząc na ogień modlą się, zawodzą.

A kiedy usta zamyka im trwoga,
 Działkom swym każą składać ręce
 drobne,

I o ratunek zebrać Pana Boga,
 Ruskie dziewice, dziewice nadobne
 Łzami się myją; zachryply ich głosy,
 Zbólaly piersi od ciągłego łkania;
 Wybladły lica, w nieład poszły kosy;
 W czuciach i myślach pełno zamie-
 szania —

Burza we wdziękach — przerwa w ich
 zamięsziach,

Przerwa w nadziejach — wielka prze-
 rwa w szczęściach.

Nie ma snu dzisiaj mieszkańcom téj
 wioski!

U nich dziś uczta. — Ha! ucztują
 troski

W sercu i głowie! — Sen od nich
 ucieka,

I przez noc całą otwarta powieka.

I ucho nie śpi, i tak czujnie słucha,
 Że leżącego słyszałoby ducha.

Fale na łące zwierciadły cichými
 W późną noc stały; nagle poruszone
 Jak skrzydła ptaków, przesłuchem spłó-
 szone,

Rzuciły łakę i na innój ziemi
 Spoczawszy nieco, do Bugu zapadły;
 A na ich miejsce nowe cisze siadły; —
 I nowe sprawy. —

DOBA DRUGA.

I.

Noc ciągnie w przepaść; gasną białe
 zorze;

Dzień się rozrasta. Słońce porankowe
 Z zanadrza ziemi bierze jasną głowę —
 I płomienistym łabędziem w jeziorze
 Obłoku pływa. Skowronek się budzi,
 Piórkami w niebie przebiera radośnie;
 Polną piosenkę nuci do tych ludzi,
 Którzy w téj dobie nie myślą o wiosnie.
 Powietrzni, wodni, polowi i leśni
 Mieszkańce, różne wyspiewują pieśni
 I tak w przyrodzie Peredyłskiej miło,
 Jakby nieszczęścia żadnego nie było;
 Jakby te straszne śniły się pożary;
 Jakby się śniły te widma Tatary.

Lecz dość zaglądnąć do biednego siola,
Zeby mieć sprzeczność z radością przy-
rody!

Stamtąd zniszczenia duch do gadów
woła:

— Tutaj jest smętarz! tu chodźcie na
gody! —

Lecz zamiast gadów z jam ludzie wy-
łażą.

Wchodzą do siola z wynędzniałą twa-
rzą

Zastają? zgliszcze! — Psy do nóg ich
liza

Łaszą się, skumlą, po rękach całują;
Spalonym słupom tak się przypatrują,
Jak żywym ludziom; już nawet nie
gryzą.

Siebie nawzajem; w przyjacielskim
kole

Placzliwie wyją pieśń głodu po siole.
Spólne nieszczęścia nawet i zwierzęta
W jedność zespala, i dla czegoż ludzie
Nie mają spólu? Jedni chcą żyć
w trudzie

Mówią: — Pomoże ręka Boża święta,
A znów na ziemi będzie rosło siolo; —
Drudzy po świecie myślą dźwigać
czoło

I niedzném słowem zebrać u bogaczy
Jałmużny — gorszej od samej rozpaczy! —

II.

— Czy my tu wszyscy? — Spytał ktoś
z uboczy.

— Wszyscy! — Wstał odgłos: aż tu
dwie wieśniaczki
Stają, dwie matki, jakoby dwie płaczki;
Płaczą przed ciżbą; krwią zaszyły im
oczy;

I jedna rzecze: — Czy tu między wami
Gromado, niema Lewka Kurdyszuka? —
Ciżba odrzekła: — sam on się wy-
szuka.

A druga rzecze: — Czy tu między
wami,

Niema méj Pazi? — Gromada z oczami

Stała dziwnémi i nie odrzekła.

Wtenczas łza nowa dwom matkom po-
ciekła.

Pierwsza zawodzi: — Mój Lewko je-
dyny!

Moja podpora! Moje wszystko zdro-
wie! —

Zawodzi druga: — Bez mojej dzieciny
Bez méj gołąbki, bez méj jedynaczki
Ja żyć nie mogę! — I do wody bieży,
Chce się utopić. — Pilnujcie bieda-
czki! —

Pomiędzy ciżbą wołanie się szerzy.

Zaczém się ozwą co starsi z gromady:
— Kumo! co robisz? bój się Pana
Boga!

Wszak dla młodców nie tak wielka
droga,

Pojść i poszukać; wraz stanem do
rady;

I szukać będziem: jedni w las, a
w pole

Drudzy poskoczą, i twoję niedolę
Pewnie pocieszą. — Szukajcie! szu-
kajcie!

Nieszczęsna woła — Donię mi oddaj-
cie! —

Szmer: jak gdy w lasy zadmie wiatr
jesienny

Rusza się ciżba, za siolo wychadza.

Skądże za siolem wziął się krzyż
kamienny

I w raz krzyż kołem ludzi się ogra-
dza.

— Co się to znaczy? — wstają w tłu-
mie głosy.

Czapki z głów schodzą; a smętne nie-
biosy

Z chmur wypuszczają promiennego
jenca;

I słońce stoi nad krzyżem w kształt
wieńca.

Niewiasty kłęczą i biją pokłony
I szepcą pacierz. — Ten, ów pochy-
lony

W krzyż się wpatruje i pomimo woli
Przerabia w podziw pamięć swęj nie-
doli.

Nawet dwie matki żalów nie rozwodzą;
Z milezącém ustem do krzyża podcho-
dzą:

Pierwsza ukłękła, jęczała swój pacierz,
Bila pokłony; ale druga macierz
Naprost do krzyża drze się przez tłum,
woła:

— Puście gromado! ja lepiej pobaczę;

— Puście! — ah! widzę... Ledwie
starsi siola —

— Puście ją! — rzekli: ta już wrze-
szczy, płacze;

Dłońmi po krzyżu błądzi szalonemi;
Czepia się, ścisła, całuje; różnemi
Przemawia słowy niezrozumiałemi;
Pogląda w niebo — i bez zmysłów pada.

Woda i słowem trzeźwi ją gromada
Darmo! — Ot! lepiej wziąć na siłę
tęż ciało.

Swobodniej duszy czyż będzie się
chciało

Wracać do więzów? Dusza takiej
 matki
 Tam najszcześniejsza gdzie widzi swe
 dzieci;
 A tu — na ziemi?...
 Lecz co ten krzyż znaczy?
 Skąd się wziął? — rychło ludzki wzrok
 pobaczy.

III.

Noceleg przy krzyżu. Ściela się su-
 kmany,
 Kożuchy, plachty; rozkwita rumiany
 Wielki kwiat ognia i na chłopskiej
 twarzy
 W koło siedzącej łyszczy się i żarzy.
 Gwar z razu tłumny, dziki, pomię-
 szany,
 Coraz i coraz w sobie się osłabia;
 To nagle znowu wzмага się, wy-
 wabia
 Najdziksze echa z stawu czacharu.
 Kilka akordów réj wodzi śród gwaru;
 Są to przeklestwa mężów, żon szło-
 chanie
 I nieszczęśliwych niewiniątek łkanie
 Co już pokarmu ssą krople ostatnie;
 Lecz i to wreszcie sen zmienił — w chra-
 panie.

Strumień.

Niedręcz pytaniem! dość ja nieszczę-
śliwy!

Bodaj mnie słońca wypily promienie!
Lewkam ratował —

Resztę słów milczenie
Nakryło sobą. — Strumień włócił się
dalej

I coraz ciszej i coraz pomaliej;
Zwężał się, cieńczył, rozciągał, prze-
rywał, —

Chwasty wodnemi reszty swe przykry-
wał;

Błąsku miesiąca już prawie nie niebrał;
Wyszedł na piasek, z wody się roze-
brał

I między ziarna piasku się rozkropił.
Tak skończył strumień co Lewka uto-
pił.

V.

Lśnią zórz kwiatuszki; przez pełni
otwór

Widać jak w nocy niebo się pali.
Na łonie ziemi śpi człowiek — potwór;
Mka śmierć ze śmiercią w powietrznej
fali;

Za niemi ostre kosy się wleka,
Na ludzkich ustach oddechy kosza.

Druga zaś jeszcze szuka syna: —
biedna

Czyliż go znajdzie? —
Ci, którzy czuwali
Chodzili po wsi; krzyki posłyszeli,
Krzyki niewieście; — na pół zrozumieli
I rzekli: — chodźmy! — i poszli ku
łące.

VII.

— Nie wrzeszcie matko! zbudzicie
śpiące. —

— Matka odpowie; — nie tak ja wrze-
szczę

Jak mi potrzeba, oj! nie tak jeszcze.
Oj! jabym chciała wrzasnąć, tak wrza-
snać,

Żeby sam Chrystus dziś nie mógł za-
snać.

Pókib nie zbudził mego parobka,
Za toż ja cierpię nieszczęsna chłopka,
Żem się szlachcianką nie urodziła?

Za toż przekłety zabrał mi syna,
Żem ja psa nawet nie uderzyła?

Oj! lichaż moja, licha godzina! —

I rzewnie płacze; a wartownicy
Stoją dokoła i łzieją sami.

Aż jeden prawi: ot! chodźcie z nami,

Tu nie poradzą płacze i krzyki.

Matka.

Idźcie na smętarz, ja pójdę z wami.
 Mnie na smętarzu pewno lżej będzie
 Bo tu tak ciężko, tak gorzko wszędzie!
 Wiedźcie na smętarz; — tam już iść
 muszę, —
 Albo na łące zostawię duszę.

Wartownik.

Biedny tu rozum!

Matka.

Serce biedniejsze!

Wartownik.

I co tu począć?

Matka.

Cyt! Cyt! — już mniejsze —
 Już coraz mniejsze cierpienie czuję!
 Już mi lżej coraz! Ludzie, dziękuję
 Za wasze serce! — niech Bóg nagrodzi
 Za waszą dobroć, i niech osiodzi
 Wasze godziny! — powiedzcie w siole
 Że Bóg już zamknął moje niedole —
 Modlcie się ludzie — i na odchodne
 Z ust i rąk moich, na głowy weźcie
 Błogosławieństwo, — i tym zanieście,
 Których przyszłości będzie dogodne.
 Klękajcie! — W imię Ojca i Syna...
 Synu mój, Synu! . . .

VIII.

Na dwie połowy noc się rozkłada ;
 Psy skumła, wyją. U wrót smętarza
 Spoczywa warta i rozpowiada
 Żalobne dzieje! ten, ów powtarza
 Nieszczęsnej matki ostatnie słowa ;
 I ten, ów wzdycha. — Rzednie rozmowa
 Milknie — umilka. — Zaczém się wkłada
 Ciężki sen w oczy. Zasypia warta,
 Z razu plecyma o wrota sparta
 Chwilę głowami jakkolwiek włada ;
 Później-tu, głowa ku piersiom zwisa
 Tu, ku ramieniom, gnąc się, kołysa
 Przechyla z wolna tulowu brzemię
 I raptem z nim się wali na ziemię.
 Dwa łby we środku kłaniać się jęły ;
 Zbiegły się z sobą — w czola stuknęły
 I rozbiegły się, — usta mruknęły —
 Scichły ; i z nowu sen z głów układa
 Sceny zabawne, sprzeczne z ponurą
 Historyą doby ; lecz o! Naturo!
 Zgodne z twém prawem.

Dwie gwiazdy spada ;
 Jedna na łakę, zaś na krzyż druga.
 Ogień się wzmaga i krzyż oświeca,
 I krzyż oczyma do ognia mruga.
 Śmieją się ciałem kamienne lica ;
 Ciało się krzewi : — z lica na szyję,
 Z szyi na piersi, na ręce ścieka ;

I wraz połowa dziewicy żyje,
Druga w kamieniu na życie czeka.

Miesiąc i ogień, jak dwa miesiące
Świecą, ten w górze, a ten na dole;
Ten ma perłową blachę na czole,
Ow zaś na siebie niby wdział słońce.
Nibi króleski płaszcz z koszenili.

I oto Anioł niebo rozmili
Naglóm zjawieniem. U zorzy staje,
I tajemnicze rozkazy daje.
I oto kilka zorzy promyków
Łamie się, splywa z mnóstwem cho-
chlików; ¹⁶⁾
Z promyków zlążą drobni chochlicy,
Snują się rojem w koło dziewicy
I kędy wstydne mieszkają członki
Tam z siebie cudne dają obslonki. —

Zniknął on Anioł; światło różowe
Zostało po nim i zorze nowe.
I przeciągnęła cisz po przyrodzie
Jak niemy łabędź po śpiącej wodzie.
W onczas dziewica nie wyrzekłszy,
Prędko z kamienia na wiatr uciekłszy,

16) Chochliki, drobne duchy na promykach gwiazd mieszkające.

Puściła stopy; i lekka, głucha,
 Tak się przemknęła między śpiącemi
 Ze snu nie zdięła z żadnego ucha,
 Z żadnego oka: — po ziemnej ziemi
 Ślad niesie, zbiera blaski na siebie —
 I te co ogień sieje po ziemi,
 I te co księżyc leje po niebie.

Staw wczora cały i wierzgający
 Falami w groble; bujny, swobodny,
 Leciał w głąb świata niby step wodny;
 Dziś po nim został padół milczący.
 Gdzie niegdzie drobne strumyki lażą
 I po miesiącu lśnią kałuż szyby
 W mule trzepocą sieroty ryby,
 Szemrzą szuwary, trościny gwarzą;
 Bez matki wody życia im niema.
 Fal kilkanaście brzegu się trzyma;
 W tych fal zwierciadło patrzy dziewica
 Czy śmierć zmieniła kwiecie jej lica?
 Patrzy ciekawa; i myśli przedzie:
 Czy pozna Mily? czy kochać będzie? —
 I klasła w dłonie dziko, uciesznie;
 I ślad ku łące rzuciła spieszuie.

IX.

Pośrodku łąki topielce leżą
 Za perekopce. W kostnialej ręce
 Uzdy, kinzały, arkany dzierżą;
 A na arkanach trupy bydłące,

A trupy końskie na uzdzienicach,
 A chrześcijańska krew na kinżalach.
 Koło nich gniją w ruskich świetlicach
 Zdobyte łupy. Allah! o Allah!
 Ty roskoszujesz w ostatniem Niebie,
 Pośród Hurysek! ziemia dla ciebie
 Zbyt niskim światem; a głos niedoli,
 I odgłos hord twych, krwawej swawoli,
 W powietrzu twego szukają ucha:
 Eblis za ciebie tych głosów słucha;
 I każe Diwom brać je do piekia.
 A twych wyznawców czereda wściekła
 We krwi się pluska. Sam nie dasz
 wiary,
 Skoro się oekniesz, co twoje hordy
 Na ziemi robią. Napaść, pożary,
 Łupieżę, gwałty, jassyry, mordy
 Oto są słowa, w których rzecz cała
 Życia hord twoich, — Allah! o Allah! —

X.

Ot tam topielec w chłopskiej odzieży,
 Z brzegu strumienia, samotny leży.
 Ręce i nogi porozrzucane, —
 Oczy rozwarte, powykręcane —
 Z ust roztulonych bieleją zęby,
 We dwa śmiertelne ściśnięte rzędy;
 Lica rozdęte, ssiniałe, tłuste;
 Skronie roskryte, ściemniałe, puste;

K'niemu skwapliwie bieży dziewica,
I pocałunek kładnie na lica.

— Wstań-no Mileńki! —

Topielec wstaje,
I niemy uścisk kochance daje.

— Tyś była w siole; a co tam sły-
chać? —

Dziewica.

Tam tylko wiatrom lekko oddychać!
Oj! ludziom ciężko!

Topielec.

A czy cię wrogi
Niezaczepiali?

Dziewica.

Czemuż ty Miły
Nie nie wiesz o mnie?

Topielec.

Nie stało drogi
Dobiedz do siola. Wody przebiły
Groblę na stawie; wzięły pod siebie
Łakę ze wszystkiem i mnie do ciebie
Już nie puściły. Przyszła niewola
Ot, na tém miejscu topielcem leżyć,
Nie orać, nie siać i nie żąć pola
I z toba Miła na ziemi nie żyć.
Nie dali dożyć szczęśliwój doby!

Jako wstał Lewko, moje kochanie,
 Jak on co nocy do Pazi wstanie.
 Ah! Maty moja! i gdzież was ninie
 I gdzież was szukać? — Cyt! — cyt!
 — głos płynie

Od mogilnika —
 — Oj, Doniu! Doniu!
 Już mnie na żywém nie szukaj bloniu!
 Czarna godzina na oczach stoi;
 Przyjął mogilnik na wieczne gości
 I na komorne wieczne do kości.
 Będzie mi dobrze — tu wszyscy
 swoi. —

Od mogilnika drugi głos leci:
 Przyjdźcież tu do nas, przyjdźcie tu
 dzieci!

I głos dwu matek po rosie pływa:
 Ta wzywa córki — ta syna wzywa.

Poszli oboje. Na mogilniku
 Wstało tak wiele płaczu i krzyku,
 Że się umarli poprzebudzali
 I ze swych mogił smutnie wzdychali.
 Ażeby schadzki nieprzerwać duchom,
 Sen się przemienił w letarg chwi-
 lowy,
 I wartownicy wzięt pod klucz nowy;
 Dał tylko czuciom wolność i słu-
 chom.

Ażeby schadzki nieprzerwać duchom,

Nawet kur w siole spóźnił się z piana-
niem

I światło trzecie się nieprzyspieszyło.
Dwoje słuchało; dwoje mówiło;
Lub wszystko czworo jednym plaka-
niem

Świat zaludniali.

Aż oto trzecie
Światło prowadzi Anioł poranku: —
»Bądź zdrowa Matko! — Bądź zdro-
we dziecię!«

»Bądź zdrowa Miła! — Bądź zdrów
kochanku!«

»Ah! Bądźcie zdrowi!« Ah! bądźcie
zdrowi!« —

Echo po rosie to samo mówi.

XI.

Kur zapiał w siole; i świeże cisze
Po świecie chodzą. Wietrzyk poranny
Biega po zgliszczech; w polu kołysze
Piolun, rumianek, mak i dziewanny;
Obchodzi z cicha lasy przestronne,
I rosy z liści strzepuje wonne.

Czarowna zorza, która gwiazd cho-
rom

Wiecznie przodkuje, dniom i wieczo-
rom

Otwiera oczy, jak zalotnica
Ma dwu kochanków: w wieczor księ-
życia

W poranek, słońce. W wieczor ra-
dośnie

Najsmutniejszego kochanka czeka;
Zrana posepna, patrzy z daleka
Jak dzień na wschodnich błękitach
rośnie.

Właśnie poranny kochanek wstaje
I widne wdzięki światu rozdaje;
Swój zaś kochance odbiera wdzięki.
Jutrenka zbladła, splakana rosą,
Dijamentowe zrzuca sukienki,
Chowa się w niebo; a za nią niosą
Jój porannego tronu ostatki.

Dziewica weszła znów do kamienia;—

Topielec leży znów u strumienia; —

Na mogilniku leżą dwie matki. —

Nad zgorzeliskiem krążą jaskółki;

Po łące brzęczą muchy i pszczołki

Odwiedzające kwiatów kielichy;

I wrzeszcza czajki: i bocian cichy,

Postrach żab, niby na krwawych
szczudłach

Chodzi po łące i w trawy kudłach

Nurza dziob długi. W polu skowro-
nek

Wyniósł pod niebo piosnkę wesela,

Nadleciał sokół i ranku dzwonek

Zmilkł, i z powietrza spadł między
ziela.

W lesie zaśpiewał las śpiewający,
I ścichł zarazem.

XII.

Któż tam po lesie
Tętni w kopyta? pewnie pragnący
Krwi, Tatar dalsze nieszczęście niesie!
Budzi się chłopstwo: jedni uciekać,
Drudzy na resztę nieszczęść chcą cze-
kać.

Tym czasem z lasu rycerstwo leci.
Kilka tysięcy słońc w zbrojach świeci;
Dobyte szable, gotowe włócznie
Prędkim kopytem świat depcą konie.
Gdzie się rozciela szerokie błonie,
Tam poskoczyło rycerstwo hucznie,
I w szyk bojowy raźnie się zwarło.
Wodze wrzasnęli na wszystkie garło;
Hufiec po hufcu rzędnie się sprawił;
A Wojewoda Firlej stał z czoła
I napomnienia rozliczne prawił.
Wysłał szpiegierzy prędkich do siola;
Szpiegierze w siole mało języka
Znalazłszy, nazad wrócili skoro.
Więc się rycerze przez siolo biorą
Co tchu pogonią. Chłopstwo wy-
krzyka:

— Niech żyją Lachy! — a po za niemi
Odgłos się ciągnie wzdłuż i wszcz
ziemi.

XIII.

Słońce się zmieścić w sobie nie może
Przez jego oko leje się morze,
Blasku i ciepła. Drobnie obłoki,
Pooprawiane w perłowe boki
I napierśniki, zdaleka krążą,
Leniwo wróżne szyki się wiążą;
Aż w przepaść niebios słońce je spycha
W objęcia wody wiatr uwięziony,
Kiedy-niekiedy do ziemi wzdycha
Jak mąż niewierny do miłej żony.

Znikło rycerstwo. Seichły okrzyki.
Wieśniacy z resztą nędznych rupieci
Wychodzą z siola; z nimi ich dzieci,
Żony i matki, nie na prężniki
Wesołe idą! —

Zgorzale słupy
I krzyż kamienny stoją na straży
Pogorzeliska. Na łące trupy
Tatarskie leżą; z ich groźnych twarzy
Na psy strach pada, dokola siedzą,
I wyją zgłodu a nie nie jedzą.

Padura Tomasz

rodem z Ukrainy, uczył się w Krzemieńcu i podróżował po Wschodzie przy Wacławie hr. Rzewuskim. Od 1817. do 1820. r., odznacza się jako znakomity poeta w dwóch językach: w polskim i polsko-ruskim. Szczególniej pieśni polsko-ruskie, stowarzyszone z nader miłą muzyką, które żyją i zapewne wiecznie żyć będą w ustach ludu, są rekojmią jego nieśmiertelnej sławy. —

UKRAINKI.

(PIESNI)

TOMASZA PADURY.

I.

**Jak ta myni woda myła,
S zelenoho brodu,
Jak w nij rybka, tak ja żyła,
Jak brała síu wodu.**

**Po nad neju, wid lisoczka
Cwily rozi w zili,
Do nych w hosti, s za mistoczka
Litaly mutili.**

**Koly sońce w dni pohozi
Huła piśń wysila,
Ja nad brodom rwała rozi
Honyła mutila.**

Przekład polski.

UKRAINKI.

(PIEŚNI)

TOMASZA PADURY.

I.

Jakżem ja dziś polubiła,
Tę śród łąki wodę!
Jak w niej rybka, tak ja żyła,
Czerpiąc ją w dni młode?

Nad nią w trawie, od laseczka,
Róże wykwitwały;
Do nich w goście z za mosteczka
Motyle latały.

Gdyś słoneczkiem błysnął Boże,
Pieśń wesela brzmiała;
Jam nad brodem rwiała róże,
Motylam ganiała!

Łysz, jak sońce zakotyłoś,
 Zemla stała śnity.
 Mylsze czudo myni snyłoś
 Nad muszki, nad kwity.

Toj sam oblak nado mnoju,
 Toj step, wody tij;
 Deż ty zytja supokoju?
 Deż wy sny nadij? —

II.

Swiati miścia, bożi twory,
 Chtoż wam nysumlinnyj
 Stiaw lisoczek, roznis hory,
 Szczop dwych dim kaminnyj?...

Teper wichor bezdorożi
 W nabi peńki dzwonyt!
 De z rosoju ćwiły rożi,
 Suche lystia honyt.

Widłytyły, z broda riezky
 Zelenii tini,
 Łyszczyt blida, — jak wid świczky
 Mertweć w dumowyni.

Czerez niuju na kurhanok
 Tiahne zwir po mosti;

Gdy się słońce zatoczyło,
 Zstąpił sen na światy;
 Milsze cudo mi się śniło,
 Nad muszki nad kwiaty!

Też na niebie i dziś stroje,
 Ten step, bród, czachary;
 Gdzież wy życia niepokoje?
 Wy nadziei mary?

II.

Święte miejsca, boże twory!
 Któż wam bezsumienny,
 Zrabal lasek, rozniósł góry,
 By wzniosł dom kamienny?

Dzisiaj wicher przez bezdroża,
 W nagie pienki dzwoni;
 I gdzie z rosą kwitła róża,
 Suche liścia goni.

Gdzież są cienie. co w dniu rzeczki
 Zieleniały dumnie?
 Lśkni się blada, jak od świeczki
 Lśni umarły w trumnie!

Przez tę rzeczkę na kurhanek,
 Ciągnie zwierz po moście;

De otiniaw szlach tumanok,
Siajut czyjs kosti.

Liczyt stupiń de no stanu
Tysza dumowynia
De no pidu, kudy hlanu,
Lakaje pustynia!..

Tutkyż, s twoho w świt wychodu,
W krasotach bez liku,
Znaweś nebo i pryrodu
Lit anhelskich wiku?

Tutkyż mylszu jak pryroda
Zirnyciu nadii
Tmyła tuhy nypohoda
W żytja nypokii?

Och! jak soezete prysnyty-ś,
To szczasływi śnite-ś,
Łysz jak w syli widrodyty-ś,
To chot' w sni wyrnite-ś! —

KISZOWYJ. *)

**Na dolinie, przy Czechrynie,
Pancernymi błyszczy szlak;
Wietrzyk z cicha dmie u licha,
Po buńczukach: szach, szach!**

*) Kisz, we właściwem znaczeniu kosz, w przenośnym obóz (propugnaculum), po dawnemu tabor; Kiszowyj zatem jedno znaczy co obozowy. Kosz kozacki w polu, na wzór dawnych Skitów, stanowiły wozy, ładowane rynsztunkiem wojennym, żywnością, a najczęściej złupioną na uciekających Tatarach zdobyczą. Nazywano później koszami ukraińskie zamki (castellum), gdzie mieszkali Kozacy pod naczelnictwem assawuków, sotników, w celu bronienia ludu, po wsiach osiadającego, przed napadami Tatarów. Kosze te czyli zamki, były zwyczajnie przy wielkich szlachach, jakoto: Biała-Cerkiew, Umań, Sawran, Bar, Niemirów i t. d. a za Dnieprem: Peryjastaw, Łubnia, Samara, Horol. (por. Vol. Leg.) gdzie nieprześlągany wróg i pogromca Chmielnickiego Bohdana, Jarema Książ Wiszniowiecki, hetmaniał dwunastu tysięcy Zaporozców, którymi przepłaskał hordy Krymu i Kibzaku, utrzymując ich na własnym koszczie. Sławny był kosz w Trzechymierowie 1576. później nad Dnieprem w Kudaku na przeciw Samary, założony 1658. przez Boplana, na hetmanstwa Stan. Koniecpolskiego, a zburzony przez Sulima w czasie buntu Pawluka. Najdawniejszy był w Czerkasach, pamiętny oblężeniem hana i obroną w nim walecznego starosty i hetmana Kozaków dniewrowskich Ostafiego Daszkiewicza na początku XVI. wieku. W koszu dobrze zawarowanym mogło bronić się z korzyścią, nawet w otwartym polu, sto pieszych młodźców, przeciwko natarciu tysięcy jazdy.

Czatuj Laszku, zajrzę w flaszkę,
 O! daleko jeszcze dzień!
 Hurra! w czarki! przez janczarki!
 W podkoweczki dzień, dzień!

Chodź ma dziuba! chodź ma luba!
 To nasz taniec, to kozak!
 Tylko bliżej, miliej, wyżej
 Po pod ręce — tak, tak!

Jam na czatach, po nad Worską,
 Sechl za tobą z żalu!... och! —
 Cale nocy mokre oczy,
 A serduszko tioch, tioch!..

Niechaj skacze, niechaj placze,
 Kiedy milszy sławy wrzask;
 Lecz kwiat wędnie, serce ziębnie,
 Korzystajmyż w czas, w czas!

Jeszcze póki step szeroki,
 Nie zrdzawieje Siczy stal!
 Hulaj dziuba, hulaj luba,
 Nim nadejdzie żal, żal!

Spójrzyj tylko! nad Achtyrką.
 Zalał gwiazdy gęsty dym!... *)

*) Pamiętna droga wpadnięciem Tatarów do Ukrainy przedn eprowskiej; można ją widzieć dokładnie oznaczoną na kartach Zanonięgo. Na tej drodze Bernard Pretwicki z Przeczławem Lanc-korońskim rozbili hordę Nugaju, w stepach Uzi-Kala (Oczakowa). —

Hej! za Lachiem, czarnym szlachciem,
Na pogańca w Krym, w Krym!

Po co mowa? po co słowa?
Zgubię w stepie, gdy dam skok;
Daj buziaka dla kozaka,
Na pamiątkę — emok, emok! —

N Y Z O W E Ć. *)

Schył się gwiazdo w chmury szczyt,
Dla mnie miłszy nocny mrak;
Nad kipiący morza płyt,
Wzniesie skrzydła steptów ptak.

*) Nyz oznacza dół; Nyzowieć, dosłownie będzie dolnik, to jest mieszkający u dołu: tak nazwano kozaków zaporozskich, żyjących po wyspach Dniepru poniżej jego porohów czyli katarakt. Niedostępne zaroście i bagna okružające wodę Tomakówkę, Kochanie i t. p. wyspy dawały bezpieczny prztułek tym wygnańcom z równin, może w czasach wylewu na zachód groźnej potęgi następców Gingis Hana przed nieprzyjaciołmi, niemogącymi znaleźć drogi do miejsca ich pobytu. Tam w ukryciu wyrabiali swoje czajki, broń, proch strzelecki, trudnili się połowem ryb i wydzieraniem łupów u Tatarów na przeprawie przy Budyłskiej Zabarze; w pieczarach zaś składali skarby i przechowywali się w czasach niepogody.

Niechaj gnuśnik szuka płas,
 Ja na falach wolę grać!
 Tylko długi skrećę was,
 Szparciej będę Turka gnać.

Wierzechem czajko, pień się, goń!
 Tnij piersiami morski płyt!
 Zagrzmię wrogom, w śmierci dzwon,
 Z pod bułata ostrych dzid!

Ty amurat się nie dmij;
 Nie zabije mnie twój gniew!
 Nie pierwszyna z twoich drzwi,
 Niedowiarków rozlać krew!...

Nie zląkł się gorący Lach, *)
 Przy saraju twoich wart,

Tam przed wycieczką na morze, obyczajem jeszcze swoich przodków Kaukazu, gotowali ulubioną potrawę jaglaną kaszę, (pszonianuju kaszu) stąd może poszło nazwisko Kiszowi zamiast Korszowi. Mahomet zwycięzca wystawił twierdzę w Kizyl-Kerman dla powściągnięcia ich napadów na brzegi azyatyckie, lecz to mało ich powstrzymywało. Nie raz ten flibustier sławiański wyzywał przeciw sobie żywioły i wrogi, nie raz wśród rozpacznych wysileni odwagi, oblany potokami krwi i płomieni, szumowi fal rozigranych wtorując okrzykami hurra! zamieniał w jęki pobożny śpiew minaretów, lub ze skołatanej czajki zatkwiał buńczuk zwycięski na statku wyznawców proroka.“—

*) Obacz poselstwo do Amurata IV. za panowania Władysława Wazy przez Kwiatkowskiego.

Miękką duszę oblał strach...
Ale naszój stalny hart! —

Nuże Dzieci pod kul grad!
My to ptaki ostrych zim!
Z skrzydeł lupu w Carygrad,
Pryśnie tylko krew i dym.

DUMA UKRAIŃSKA.

*Przekład Adama Pieńkiewicza wyda-
wcy BOJANA. Wilna 1838.*

Miesiąc chmury pochłonęły,
Burza w górach daje znać
Nocne duchy posunęły
Na czachary dzikie spać

Biada ci łabędziu biały!
Rybotom z ciebie będzie łup:
Rozhukane Dniepru waly,
O żelazny biją słup.

Kozak kolan swych nie ugnał:
Nazul bóty, chwycił nóż,
Okiem strzelił, wąsem mrugnął,
Skoczył w czajkę — zniknął już.

Na dalekie pobereże,
 Z białej piany ściele szlak
 Niechaj ten się dobrze strzeże,
 Kogo zoczy taki ptak!

Długie słowa nie mu po tém,
 Na lzy on nie wstrzyma gniew,
 Co na gwiazdach nie wie o tém
 W stepach — zna on wrogów krew!

Wielkie morza, dzikie puszcze,
 Znają nasze hura - ha!
 Gdy na chciwych wrogów tłuszcze,
 Cma kozaków podlot da.

Kozak pana nie znał z wieka,
 Z ojców krew swobodę wniósł;
 W ptaka zmienił się z człowieka,
 Bo wstrzemionach końskich zrósł.

Czasem kiedy strudził nogi,
 Pod niedźwiedziem w śniegu spał;
 Lecz na każdy odgłos trwogi,
 Sotnie Tatar w pęta brał.

Wróg tu do nas nie zagości,
 Nas się lęka cały świat!
 Nasza szabla nie zapości,
 Pastwę znajdzie jój nasz brat.

Nie raz w obcy kraj lecieli,
 Na rabunek w szerz i wzdłuż;
 Wprzód pomarli, nim ujrzeli
 Konia, spisę, bizun, nóż.

Radbym wiedzieć: jak świat cały,
 Czy się zrodził taki bis,
 By mu nogi nie zadrzały,
 Widząc las kozackich spis?

Za nic u nas długie lata,
 Nie znał szabli siwy wąs;
 Nasz brat młodcem schodzi z świata,
 Gdy się dzielnie z wrogiem strząśf.

Nam najmiléj żyć w przyrodzie:
 Stepy — łózko; niebo — strop;
 Koń u boku na powodzie,
 Na janczarce wąsów snop!

Nasz Ataman skoro świśnie,
 Kozak z kołka chwyta broń;
 A gdy konia w nogach ściśnie,
 Pędem wiatru leci koń.

Serce klacze, gdyby kosa,
 Gdy na wrogi mierzy cios!
 A rozśmieją się niebiosy,
 Gdy się kozak śmieje w głos.

Nasz brat nigdy nie bieduje,
 Choć kabzę pustą ma:
 Czasem z Lachem pożartuje,
 Lach czumacki kozuch da.

U nas dziewczki wszystkie harne:
 Czarne oko, czarna brew,
 Kosy mają długie, czarne,
 Lice gdyby z mlekiem krew!

Ah! nad bujną Ukrainę,
 Któryż, któryż w świecie kraj?
 Z kraszy naszą znaj dziewczynę;
 Syna stepów z męstwa znaj! —

Pieśni Semima Rezulada Syna El-Aasa,)*

DO SHANAR DOLINY.

Jakże ty piękna Shanar dolino,
 Ubrana w palmy strumienie!
 Po róż twych wonię, ranku godziną,
 Przybiega wiatru westchnienie. —

*) Znakomity pisarz wschodni. Jego Wizyc
 proroka tak się podobały Beduinom i tyle mu
 zjednały sławy, że go nazwano prorokiem Re-
 zuladem.

Przed spleką słońca twoje ogrody
 W zacienia kwiaty przynoszą,
 Drzewa owoce, strumienie wody,
 Chłodniki pokój z rozkoszą. —
 Jak się tam tkliwie lży tajemnicze
 Przed gwiazdą nocy tłumaczą,
 Gdy zabrzmiały w gajach hymny słowicze,
 A rosą liścia rozplaczą! —
 W ich lubej wrzawie myśl utęskniona
 Pamiątek nuty nie głuży,
 Tuli ich w serca, chwyta w ramiona
 Lub stroi z muzyką duszy! —
 Lecz róż nie strudzą koehanka pienia,
 Choć go noc żadna nie zdrzéma.
 Ni świętej Khaabe *) runą sklepienia,
 Od czułych westchnień pielgrzym-
 ma! —

DO
**WIOSNY NA DOLINIE
 SHANAR.**

Chwilo rozkoszy, miłości technienie,
 Tajemnic dnia odrodzenia,

*) Khaabe, świątynia w Mecc.

Shanaru wiosno, ziemski edenie,
Poklon ci duszo stworzenia! —
Twoja zieloność przynęca oko,
Twój śpiew tak serce czaruje,
Ze chociaż niebo tak jest wysoko,
Na błękit wód tych zstępuje! —
Melancholiczne dumań uroki
Karmisz lubością nieznana
Z tchnieniem twych woni, uczuć potoki
Toczą się falą wezbrana. —
Raduj się duszo snem omamienia,
Gdy młodość uroki wieńcza,
Nim ujrzysz nagie wieku złudzenie
Za marną omamięń tęczą. —
Odkwitną drzewa, przeplyną wody,
Gałęzie pozłoci jesień,
Zgłębi przyszłości wyjdzie czas młody,
Zabierać kwiaty uniesień. —
Użyjmy piękna tych dni radości!
Oto nam Bóg je przyrzeka...,
Raz tylko kwitnie wiosna młodości,
W drodze pielgrzymki człowieka.

G R Ó B. *)

Na błękitach Horynia gwiazda nocy
 plywa,
 Zefir przebiega po sitowiu cichém,
 Śnieżna piana wybrzeża samotne o-
 krywa,
 A lazurowe fale śpią z uśmiechem.
 Słowik się ukrył w chłodny liść ja-
 woru,
 W ciszy dąbrowa słucha muszek
 brzmienia;
 Komuż to wschodzisz wśród nocy mil-
 czenia
 Melancholiczna gwiazdo wieczo-
 ru? ...

Niegdyś w tych miejscach twój lągo-
 dny promień
 Ze snu dzieciństwa budził pierś dzie-
 wicze,
 Lub światem dumań, karmiąc duszy
 płomień,
 Wypraszał westchnień jak pieśni sło-
 wicze.

*) Jestto na skon Karolowej Doroty księżnej Sanguszkowej, zmarłej w kwiecie młodości od kilkunastu lat w Rzymie, napisany przed sprowadzeniem zwłok jój do kraju.

Teraz przedmurza zamku oniemiale,
Cichą łzą tylko płyną w kraj pamią-
tek,

A tam, gdzie uciech rozświtał począ-
tek,

Mdleją w boleściach serca owdowia-
łe!

Gdzież jest ten ranek szczęścia, wró-
źba upragniona,

Ta luba mara myśli, to nadziei dzie-
cie,

Gdy przy twojej kolebce matka ro-
zczulona,

W złotym śnie malowała twoje przy-
szłe życie?

Ah! w tej ziemi czarownej, gdzie ży-
czenia wieszczę

Rodziły z marzeń owoc za nadziei
świtem,

Uwiedłaś jak to ziółko przed wiosny
zakwitem

Tylko liść twych pamiątek nieusycha
jeszcze! —

Lecz gdy po czasie marzeń, — w go-
dzinie uroku,

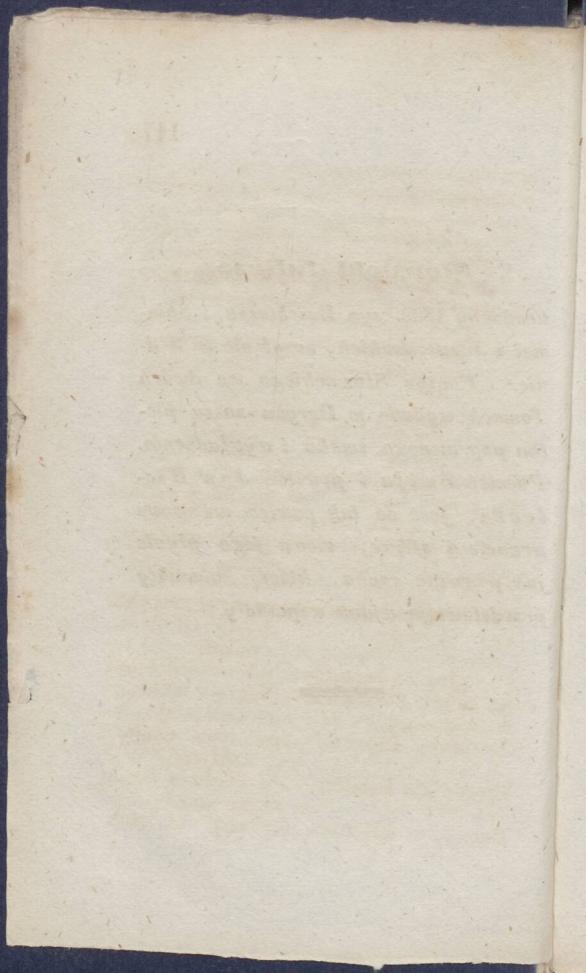
Nim duch twój w tajemniczym rozto-
czy się świecie,

Oblany łzą uniesień, w uczucia po-
toku,

Jeszcze w nucie śpiewaka zazielenisz
w kwiecie!
A na grób twój budzony cudzoziem-
ską mową,
Milszy sercu przychodzić głos zba-
wienia rzuci,
I wiecznego pokoju, z gałązką lau-
rową,
Starych dziejów językiem tobie pieśń
zanuci.

Słowacki Juliusz

urodzony 1809. syn Euzebiusza i Salomei z Januszeuwskich, uczył się w Wilnie. Poezyc Słowackiego we dwóch Tomach wydane w Paryżu noszą piętno poprawnego smaku i wygładzenia. Poemat *Żmija* i powieść *Jan Bielski*, jest że tak powiem na swoim gruncie i sferze, mowa jego płynie jak poważna rzeka, której katarakty przedstawiają widok wspaniały. —



JAN BIELECKI.

I.

WYPRAWA NOCNA.

Oto się ciemne xiegarnie otwarły,
 Tu źródła bogactw w zapyłonej ramie.
 Czytam... Jak dziko ten język umarły,
 Pod piórem w kształty nieżywe się ła-
 mie.

Język i gorszy przesąd zakonnika,
 Jak rdzawa kłamra myśl xięgi zamyka,
 Czy tu wygrzebiesz dzieła Giedymi-
 nów?

Czy głos Zygmunatów, jak echo daleki?
 Są to jak Sfinxy, te ubiegłe wieki,
 Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
 Znajduję słowa: »kraj nasz dosiagli

szczytu,
 Chylić się musiał. » — Precz z myślą
 szatana!

Pamięć w dalekich wiekach obłąkana

Niech spocznie... Okno klasztoru o-
tworzę...

O! jak spokojne otęchłanie błękitu,
Tam zdala plynie złote kłosów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy;
Myśl rozwesela daleki szmer lasów.
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych cza-
sów,
Jestem wesoly, jak biesiadnik stypy.

Snem jest ów obraz. Umysł się nai-
grawa
Z nieszezęść obecnych, bezwładny —
bez steru.
Gdzież jestem? Oto! mury Westmin-
steru,
Tam Izba Parów, tu Tamiza mgława
Połyska słońcem. Przebiegałem chmur-
ny
Ów pałac zmarłych z uczuciem prze-
strachu;
Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu,
A oni żyli... Nie zajrzałem w urny,
Wybiegłem — więcej nie wchodzę
w te ściany...
Ale samotny wracam dziś i codziennie,
W dziedziniec głazem grobów bruko-
wany,
Po których stapa niemyślny przycho-
dzien....

Ci co posnęli w tych grobach dokoła,
Walczyli nędzni z niezdolności wro-
giem;

Dążyli spiesznie do progów kościoła,
I umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką roskoszą napis mniej wi-
domy,

Niszczę do reszty śladem mojej stopy.
I czuję roskosz, gdy mój cień znikomy
Gróbowi gmachu nie dopuści cienia.
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy?
Nie mając w duszy wrącego płomienia.

Posepny — siadę na odłamie glazu.
Smutna się powieść w pamięci rozwija.
Czytałem w wiegach — a godło obrazu
Było »kraj zdradził, lecz zdrada zabija.«

W kronikach znajdziesz powieści
osnowę,

Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył
głowę,

Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe,
Część po wsiach własne zamieszkała
dwory.

Co było w kraju? nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzezan w cudnej mieszka okolicy,
 Zamek objęła rzeka w dwa ramiona,
 Nad bramą klasztor, w murach zakonniczy,
 Dalej kaplica blachą powleczonea.
 W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy;
 Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
 Pan Brzezan lubi żyć w królewskim dworze,
 Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
 Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
 Gęsto się lampy lśnią alabastrowe,
 Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki
 Wytryska woda, tehnąca wonią róży;
 I nazad dęszcem brylantowym spada.
 Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
 W oczy się patrzy i chęci odgada,
 Ani się kiedy śmieć odezwać słowy,
 Spodlonym tworom Bóg omdówił mowy.

Pan Brzezan huczne wydaje biesiady.
 Oto go łatwo rozeznać za stołem,
 W złocistej szacie, ale bardzo blady;
 Wydaje troski zachmurzoném czolem.
 Może biesiada cierpienia ukoi?
 Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwyklój dumy.
 Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
 Wesolój szlachty ozwały się tłumy,
 Wesolym gwarem zabrzmiały komnaty;
 Już wino słabsze zwycięża rozumy,
 Dość jednéj iskry, wnet ogień wybu-
 cha.

Pan Brzezan mówi — Szlachta wstaje,
 słucha.

»Bracia na chwilę uciszcie te gwary,
 Słuchajcie pilnie — a ja w krótkim
 słowie

Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
 A potem każdy swe zdanie wypowie.

»Słuchajcie! szlachcie obraził mię
 podły,
 Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
 Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
 I jam był winien! winien był Sie-
 niawski!

I oko w oko, przed króla obliczem,
 Widziałem wroga, nie próżno przy-
 chodził;
 Król go pochwalił, pochwalił, nagro-
 dził,
 Nie spojrzal na mnie i odprawił z ni-
 czem.

»Nasz dumny Stefan do czegoż on
 zmierza?
 Śmiałżeby władać jak Niemieckie xiaże?
 Wszak nasze państwo to gotycka
 wieża,
 Z tysiącznych kolumn składa się i
 wiąże;
 Niechaj się jedna usunie kolumna
 Gmach cały runie, cały się rozpręże;
 Ja się usunę! — niech mię grom dosięże,
 Gmach cały runie, dla mnie tylko
 trumna!...

»Hej! Szlachta znacie Bieleckiego
 Jana?
 Dawniej w niewoli guł u Bisurmana,
 A dziś się z pany w jednym stawi rządzie,
 Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
 A kiedy zamki wał się pod gromem,
 On podparł domu wałące się ściany,

I tak spokojny między niemi żyje,
 I tak szczęśliwy, że nad jego domem,
 Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
 Lecz dzisiaj ptaka ja wypłoszę z gniazda,

Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
 Bracia! noc widna! niedaleka jazda!
 Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;
 Nim wróci, niech mi Bóg tak pomoże,
 Dom zrzuć, spalę, grunt domu zarzę.

Miodem i winem i uczą zagrzany,
 Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.

I tam widziałbyś jakim cudnym blaskiem,

Migaly w tłumie drogie axamity,
 Złociste pasy i jasne żupany,
 Jak się wahały brylantowe kity,
 I oko ćmiły różnobarwne krasy:
 Blask chyba równy, gdy w przedpo-
 topowe

Wicher nowego świata zbladzi lasy,
 Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
 Gdy się mieszają wszystkie barwy
 borów;

Liście i kwiaty płyną jak potoki,

Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny, i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzezan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi,
Już pojechali... Niech ich Bóg pro-
wadzi.

II.

WESELE.

W Brzezan miasteczku, w kościele
u Fary

Jaśnieje ołtarz — potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany;
Tam poźółkniały xiąg pargamin stary,
A owdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowemi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartém czołem, Jan Bielecki
zbrojno,

W husarskiej zbroi, w misiurce ze
stali,

Jako do bitwy stanął do ołtarza,
Patrzy na młodą a wzrok mu się pali.
Przy meskiej piersi gdzie żelazo lśniło
Od lubej w miłym dany upominku
Sklaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drzał listkami, tak mu serce bilo,
Tak silnie piersi wstrząsały pukle-
rzem...

A dalej, swaty za młodym rycerzem,
A dalej, bracia husary, pancerni,
A dalej, służba w wielkim stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni.
Piękny to widok gdy przed wrogów
tłumem,
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki gluszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystro-
jona!

Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory;
Błękitną barwą lśniącą jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze,
Lśnił się herb, srebrne xięzyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusim
piórze.

A druga strona sukni szkarłatowa,
 I herb dziewicy szyty na szkarłacie,
 Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
 Piękna to szata, a przy takiój szacie,
 O jakże cudna gdy się wstydem płoni!
 Widne łzy w oku, widne drzenie
 dłoni,
 I cała postać powiewna i drżąca.
 Jój śnieżne łono westchnieniem odtrąca
 Tę młodą różę, co wpół wychylona,
 Axamitnego dotknęła się łona.

Dla czegoż smutna?... Patrz na wód
 lazurze
 Kwiat się przegląda w jeziora kry-
 ształe;
 Choć chmury słońca nie zakryją świata.
 Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
 Lilija wodna może przeczuć burze,
 Kwiat czuje — Ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
 Zagrali grajki, grzmia liczne wystrzały;
 I pochodniami świecili kozaki,
 Noc księżycowa widna jak dzień biały.
 »Stójcie!« zawołał pierwszy swat »prze-
 de mną
 Nie widzę domu... Janie wszak tu
 droga
 Do twojój chaty? ha! cóż to? dla Boga

Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach
ciemno?

Wieśniak ostatniej miedzy doorywa...«

Kiedy to mówił — przybiegił jeden,
drugi,

Patrzą, nie wierzą — sam Jan staje,
słucha,

Blednieje — nagle z tłumu się wyrывa;
A w tłumie była cichość straszna, glu-
cha.

Wkrótce Jan wrócił — prędko jak
blysk gromu,

Stanął przed żoną obłąkany, blady.

Na jego szatach widać krwawe ślady...

»Anno« rzekł »Anno! wracaj! — nie-
mam domu!

Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!

Zniósłbym nieszczęście, lecz nie znio-
sę sromu.

Już mnie domowe szczęście nie omami,

Wracaj o Anno! ty będziesz szczę-
śliwa,

W twojem objęciu zalałbym się łzami.

Ja nie mam domu!...« Zadrzał —
i spał konia.

I jak wiatr szybko poleciał przez blo-
nia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniéj miedzy.

Bielecki zniknął — żadnej o nim
wiedzy,
A po nim żona chodziła w żalobie.
Jéj serce straszne skolatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pier-
ścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowro-
nek,
Wzleciał nad skiby przeoranéj roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

III.

BAL MASKOWY.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne jak niegdyś naszych przod-
ków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie,
W różne obrazy, w różne chińskie
kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.

A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiaździstej ko-
ronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny,
Głośném wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie — i gdzieś między
szpary
Świérszcz się odzywał — I pies stróż
rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła,
Na psów szczekanie z pobliskiego siola.

Siedziała Anna, przy niej Ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośno, a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę,
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I lzy zamienia w płacze nieszkodliwe;
Jako płacz dziecka, kiedy roskwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtém zaszczekały brytany zbu-
dzone,
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł — czapkę miał
na głowie,

Brzmiącą dzwonekami, obszytą w galony,

I rzekł: »Niech będzie Chrystus pochwalony!«

— »Na wieki wieków« starzec mu odpowie.

A karzeł znowu nisko schylił głowy,

I rzekł »Sieniawski, Pan mój na Brzezanach,

Dziś mnie posyła po paniach i panach,

Jutro was prosi na swój bal maskowy.

Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,

A wszyscy w dziwne przybrani maskary.» —

— »Ha! precz mi z oczu!« Krzyknął Cześnik stary,

»Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!

Precz! bo na Boga« ... Lecz nie skończył mowy,

Upadł na krzesło i zdięty niemocą,

Już gniewu swego nie mógł wyrzucić słowy...

Była to straszna chwila przed północą

W okolo slychać noenych kurów pianie,

I psy szczekały co wrót chaty strzegły.

Znagła zadrzały obrazy na ścianie,

Znów się drzwi domu na ścieżaj ro-
zbiegły:

Wszedł blady człowiek — lecz na po-
witanie

Jak zwykle Boga imienia nie chwalił;
I opatrzone w pieczęć zawinięcie,
Złożył na stole i sam się oddalił.

»O córko! córko! to Jana pieczęcie!«
Wykrzyknął starzec, воск rozłamał
kruchy,

I znalazł słowa: »Anno! bądź na
balu...«

A dalej szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc
ciemną,

Perły daleko łowione w Basorze.

Anna spojrziała i zbladła »O! Boże
Zmiluj się nad nim — zmiluj się na-
demną.«

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron za-
siada?

Czy znów z Wenecyi, co po morzu
plywa,

Do Polski wnosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.

Snem mu się zdają te świetne Brzezany.
 Oto są złote Krakowskie komnaty,
 Podobne kształtem, złoconými ścianą,
 Strojne w atlasy i drogie bławaty.
 Oto jest zgraja Królewska barwiona,
 Szaty ma cudne, dorobione twarze;
 Weszli na salę... Ale gdzież jest
 Bona?

Może truciznę podaje Barbarze?...

Snują się tłumem, pomiędzy kolumny,
 Ujrzyć tu wszystkie zwyczaje, narody.
 Patrz! oto piórem błyska hiszpan
 dumny,
 Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
 Krzyż ma na piersiach, jak obrońca
 wiary,
 Krzyż ma na piersiach i szablę szla-
 choica;
 A w ręku jego drżą stróny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dzie-
 wica,
 Z różanym wiankiem, a przy niej mło-
 dzieniec.
 Oboje widać z wysokiego stanu;
 Ona zbierała w Neapolu wieniec,
 On się urodził w Rzymie Oceanu. *)

*) Wenecya.

A pieśni majtków i szum cichój fali,
 Ukołysały umysł jeszcze młody;
 I rzucił ślubny pierścionek do wody,
 Poślubił morze i jak Tas się żali.

Lecz w jedną stronę zbiegł się tłum
 balowy;

Dziwna tam maska! dziwne jój ubiory!
 Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,
 Od szaty bije blask dyamentowy,
 We włosach toną przepaski z koralami....

Wnet się rozlega szmer wielki po
 sali,
 Kto jest ta maska?.. Sam król nasz
 Batory
 Niéma tak wielkich brylantów w Kra-
 kowie,
 W skarbcu królewskim... Kto jest
 ta dziewica?..
 Próżna ciekawość, pod maską jój lica,
 Ani się słowem wydała w rozmowie.

IV.

ZEMSTA.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały
 komnaty,
 Głośnie to radość, lecz radość nie
 szczera;

Śmiech slychać!... śmiech to wymu-
szony świata
Na bladych licach nigdy nie umiera,
Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z pló-
tna,
Którými błyszezy biesiadnika głowa;
Ich postać wiecznie, wiecznie jedna-
kowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna,
lecz smutna,
Nigdy nie żyły i w nieba błękiecie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiedną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów
życie,
Nad jedną chwilę roskoszy — choć
błędna?

Pan Brzezan smutny, milczący, po-
nury,
Porzucił tłumy różnobarwne fale;
Szedł do komnaty gdzie ciemne mar-
mury,
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna xiężyc pełnym blaskiem
pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złożonych nie jedna twarz
blada

Którój wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nie-
ruchoma.

Chodził Starosta, krok niepewny, skory,
Za nim się cienie kładły od xiężyca;
A gdy na niebo podniósł blade lica
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słyhać
wrzaski;
I zbiegł Starosta do sali biesiady,
Zawołał pazia, pomiészany, blady.
— »Paziu! mój! Paziu! co znaczą te
maski?

Prawie połowę zajęli komnaty,
Czola zakryte i tatarskie szaty...«

— »O Panie! twojój bojaźni nie dzieję,
To jakaś szlachta zjechała kulikiem.« —

— »Nie są to, paziu! nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem,
krzykiem,

Zarazby pełne obległa szklannice,

A oni mileżą, kryją tajemnicę...

Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne
sali,

Niechaj odźwierny... Lecz cóż to?
O Boże!

Zwodowa wieża i zamek się pali!

O zdrada! Bracia kto mi dopomoże?

Miecz mój i zbroja! prędzój paziu młody.«

Już nie czas... Zewsząd tłumne po-
gan wrogi,
Biegną przez wielkie marmurowe
wschody;

Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?
Któż tłumy pogan prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem? baszą? atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim
stroju,

Czolo zlocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym xieżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem
zabija.

Już wpadł do sali, zaraz za nim
w ślady,
Straszny wiatr zawył na ściany zam-
kowe,

Światła zadrzały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alaba-
strowe

Ukrytych glazy... Wpadł jak śmierci
mara,

I wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzezan z mieczem stał w obec
Tatara...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył
miecza;

Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze
znany!

Nad emalii zaćmionym lazurem,
Obraz Najświętszej Panny malowany,
I obraz krzyża—pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne xiężycyca półkole
I gwiazda, nad nią hełm ze strusim
piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł Starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu,
Zadrzała, padła na głaz jak nieżywa;
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ścięsnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłakana,
Chwycił ją w dłonie, unosił przez
ganki,

Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiął, pełny słodkiej
woni,

Rozwiany sphywał aż do stóp Tatara.
A strasznie blada była twarz dziewicy.

Budzi się — gdzież jest? w zamko-
 kowej kaplicy,
 A przed nią postać jak przeszłości
 mara.

Dokola było i straszno i ciemno,
 A więzye mury oświecał kościoła.

— »Tyż to mój luby? tyż to jesteś ze
 mną?

Zaklinam ciebie zdéjm zawoje z głowy!
 Niech cię obaczę — rysy twego czoła...«

I zdiał Bielecki turban muślinowy

Anna spojrzala, i padła omdlona.

Znów po niéj życia rozlały się ślady,
 I znów po chwili ciężko przebudzona,
 Rzekła: »O luby! tak straszny! tak
 blady!...«

— »Cha! blady?« przerwał rycerz z dzi-
 kim śmiechem.

»Wszak zdradzam!...« zamilkł — lecz
 ostatnie słowo,

Trzykrotnie głośnień powtórzone echem,
 Przerwało ciszę kościoła grobową.

A rycerz mówił: »Tak! twarz moja
 blada!

Z inną cię twarzą w czas szczęśliwy
 witał,

Ja zdradzam! będę jak róża roskwitał?
 Na mojem czole napisano — zdrada.

Kraj cały we krwi... Wznies na wię-
 zyc oczy,

Patrz na te okna, na szkła malowidła.
 Gdy błysnie słońce ów anioł rostoczy,
 Różane lica, a srebrzyste skrzydła;
 Lecz szklisty obraz przejęty xiężycem,
 Teraz do lekkiój widm podobny larwy;
 Ciemniejszym patrzy i niepewnym licem,
 Smutną ma postać, obumarle barwy:

Inny jest człowiek gdy o szczęściu marzy,
 Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne
 rysy
 Oświéci nieszczęśc lampą? od téj twa-
 rzy

Weselsze będą grobowe cyprysy.
 O! luba moja, poco te rozmowy?
 Luba! chodź zamną wieść życie tula-
 czy!

Chodź za wygnańcem potępionój głowy!
 Na twojém łonie dożyję siwizny,
 Siwizny nieszczęśc, zdrady i rozpaczy.
 — „Mój Ojciec! — „ Ojciec?.. Ojciec
 przeklnie ciebie!

I ty się lękasz?.. Przeklnie! i cóż
 znaczy

Przekleństwo Ojca, braci, lub oj-
 czyzny?...

Chodź w kraj daleki, tam będziesz
 jak w niebie,
 Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne
 gaje;

Są ludzie — wszysey przyjaciółmi
 mémi,
 Jest wszystko! luba czegoż tam nie-
 staje?
 Luba! jest wszystko! wszystko! prócz
 téj ziemi.

V.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jój
 ściany,
 Już pochylone wsparte na podpory;
 Promieniem słońca błyszczał dach bla-
 szany;
 Słońce wzierając przez te szyby drzące,
 Różne już na nich wybiło kolory.
 Nad cerkwią rosły trzy brzozy pla-
 czące,
 Krzyż się przeglądał przez ich szczyt
 wyniosły;
 Na progu żebrak pacierze powtarza.
 W okolo cmentarz kwiatami zarosły,
 I wiejskie groby błyszczą wśród cmen-
 tarza.

Daleko slychać wiejski dzwon ko-
ścielny.

Zadzwonił, zewsząd lud spieszy przez
pola.

Było to święto, był to dzień nie-
dzielny,

Dziś plóg spoczywa, zieleni się rola.

Dziewice oltarz przystroiły w kwiaty,

Zabrzmiła młodzież do śpiewa go-
towa;

Wyszedł xiądz ze mszą pochyłony laty,

Tłumi się coraz pieśń ludu nikuca,

Uciehła... Xiędza tylko slychać słowa,

Cichy szmer brzozy co o szyby trąca;

Niekiedy dzwonek jęklivy uderzy,

Niekiedy starzec xiędzu odpowiada;

Świergocą wróble, i pod szczytem
wieży

Pierszecznie jaskółka i w gzymsy za-
pada.

Msza się skończyła. — Oto w ni-
skie progi,

Jacyś wędrowce weszli do kościoła.

Jeden padł na twarz, całował podłogi,

Drugi ponury, nie uchylił czoła.

Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył,
strój drogi

Blysnął z pod płaszcza i twarz nie we-
sola.

Bali się zasiać w lawki, lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.

Xiądz[modły skończył, mszał bogaty
złożył,

Teraz zaczyna mówić Boskie słowo. —

»O! Bracia! dzieci! i tegożem dożył?

Ja stary wiekiem z ubieloną głową,

Że kiedy nieraz osładzałem troski;

Dziś żal pod strechę niosę w Bożém
słowie.

Tu niegdyś siadał — oto lawka pusta,

Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tój
wioski.

Zdradził kraj, wiarę. Xiądz Prymas
w Krakowie,

Wyklął go, klątwę na me przestał
usta.

Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wa-
mi....

A teraz Bracia! dzieci! ja przekli-
nam!...«

Zachwiał się starzec i zalał się łzami,

Zabrzmiało amen — lecz amen żałoby,

Jakże niechętnie? dźwiękiem ledwo
żywe.

Potém się wzniosły łkania żalobliwe,

Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale za ledwo podniosło się łkanie,
 Za ledwo doszło przed oblicze Boga,
 U progu nowy zgiełk i zamieszanie,
 Jeden z wędrowców co stali u proga,
 Zadrzał i upadł bez czucia na glazy;
 Drugi zaś drżący i blady straszliwie,
 Kłął nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
 Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Xiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
 Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
 I tam na zimnym kamieniu grobowca,
 Kładą martwego wśród kwiatów cmen-
 tarza.

Cieniem świeżości okryły go drzewa,
 Cieniem co groby kwitnące okrywa;
 Wiatr go ochłodził co w grobach po-
 wiewa;

Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
 Spojrzał i zadrzał... jakby blaskiem
 gromu

Twarz go ta razi — twarz blada, nie-
 żywa:

I rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do
 domu!...“

Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
 A xiądz wychodził za kmieciów gro-
 madą;

We wrotach stanął, twarz odwrócił
 blada,

I rzekł poważnie: »Bóg jest miłosierny!
A jego litość, liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku, i głębsza nad mo-
rza.«

Jeden z wędrowców spał wśród mo-
gił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła.... Przebóg! to dzie-
wica!
To Anna! z ust jój nie slyszano słowa,
Czy brak w niej czucia? bo sucha źre-
nica;
Twarz nieruchoma — jakby marmu-
rowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty,
I brylantami oświecone szaty;
We włosach jasne przepaski z koralu.

»O! mój najmilszy!« rzekła »o! mój
drogi!
Jesteśmy sami — już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął — a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami. —
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi
łzami!...«
Nagle spojrziała i krzyknęła srodze,
Potém nań kwiaty rzuciła wonnemi:

„Luby nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi.“

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły;
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny,
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją sily....
I eicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wounnej czeremchy orzeźwiała technie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy, xiężyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty,
wzory,
Lica wysrebrzał — a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna
w nocy,
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
Nieszczęsna Boskiej wzywała pomocy.

Widna jój postać przy blasku miesiąca,
 Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
 Bije we wrota coraz słabszą dłońią,
 Smutne się echo o groby rostrąca,
 Lecz echo coraz słabsze niosło razy;
 I coraz słabsze — nikły — jako w Bogu
 Tonące modły — jako śpiew daleki....
 Dziewica blada, na kamiennym progu,
 Usnęła — może usnęła na wieki....

I cicho! niechaj głos pieśni stlu-
 miony,
 Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
 Całego świata gdy się odgłos spłynie,
 Tworzy tę ciszę co ziemię osłania;
 Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
 Jak gdzieś daleko, brzmią pogrzebow
 dzwony
 Jęki rozpaczy i wrzawa wesola,
 I płacz boleści i śmiech obłąkania,
 I wszystko można rozróżnić w tej
 ciszy,
 Słuchem anioła i myślą anioła.

H U G O.

I.

UCIECZKA.

Młoda dziewica dziś w klasztornym
 murze,
 Bogu na całe poświęcona życie;
 Gdy odrzucała świeże wianku róże,
 Łzy z pięknych oczu płynęły obficie;
 Gdy pod całunem legła na marmurze,
 Ustało prawie drżące serca bicie;
 Łzy już nie płyną, lecz bladeś straszliwa,
 Jak w chwilę śmierci jój leca pokrywa.

Już mrok zapadał, już wieczorne
 chłody,
 Wróciły niebu barwy lazuruowe.
 Przed krzyżowými kryjąc się narody,
 Słońce skwarami utrudzoną głowę;
 Chowalo w morza Bałtyckiego wody:
 Lecz nim się skryło w fale burszty-
 nowe,
 Zajrzało w gmachu zasepione skrzydła,
 Przez szyb kościelnych ciemne małowidła.

Lecz czemuż pędzą tak spiesznie przez
błonie?

Czemuż tak prędko z bitéj zeszedli drogi,
Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnej nie wiedli roz-
mowy;

Starszy ostrogą zachęcał rumaka,
A potem nagle gniew gorzkiemi słowy,
Wyrwał się z piersi gorącej krzyżaka:
»Z radośném sercem jam rzucić go-

towy,
Kraj ten przeklęty, chciałbym lotem
ptaka

Z miejsc tych ulecieć, kędy mojej
głowię,

Grozą tajemnych wyroków sędziowie.

»Lubię zakonu turnieje, gonitwy,
Ale nie znoszę szpiegów tajnej sprawy;
Od nich uciekam w kraje dzikiej
Litwy;

Lasy mi słodsze nad ciągle obawy.
Jagielo z bratem tocząc krwawe bitwy,
Przyzwał nas w swoje odległe dzie-
rzawy,

Już zamek Trocki do niego należy,
I tam krzyżackich osadził rycerzy.

„Tam ja nad braćmi zakonu prze-
 wodze,
 Śledzę Litwinów i spraszam biesiady;
 A ufny w silnej i licznej zalodze,
 Wrogów choć licznych nie lękam się
 zdrady;
 I sąd co trzymał mych czynności wodze
 Puścić je musiał i stracił ich ślady.
 W Litwie podstępem zradnym nie
 otoczy,
 W Litwie nie dojrzy, choć ma bystre
 oczy.

„Oto krzyżackie zniknęły klasztory,
 I błyszczy Niemen szeroki przed nami!
 Zaraz się w rzekę rzucił rumak skory,
 Parskał i pianę mieszał z wód pianami.
 Na drugim brzegu czerniły się bory,
 Srebrnymi nocą uwieńczone mgłami.
 Xiężyc posepny plonąc na zachodzie,
 Długim się słupem srebrzył w Niemna
 wodzie.

Nim je grom spali — nim ludzie wy-
 tna,
 Piękne są bory, cudny las sosnowy!
 Tysiączne kwiaty w jego głębiach
 kwitna,
 Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy:

Tam dzwonki barwą błyszczą się błę-
kitną,
Owdzie kobierce ściele wrzos różowy.
Przez takie bory zarośnięte wrzosem,
Prędkim tętnily kopyta odgłosem.

W pośpiechu szybko mijają rycerze,
Rozległe Xiążąt na Lidzie dziedziny.
Z wschodzącem słońcem witaly się
wieże,
Choć cień pod zamkiem zalegał doliny;
Ze słońcem jezdźców migaly puklerze,
Słońcu nadbrzeżne klaniały się trzciny,
Nie jeden pączek przed słońcem ro-
skwita,
Błyszczy się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybkie przemknęły
rumaki.
Znikł obraz Lidy jak senne marzenie,
Znow ciemne bory zarośla i krzaki,
I jednostajne rumaków tętnienie;
Słońce przebiegłszy lazurowe szlaki,
Już za Ponary chowało promienie;
Już cień na ziemię spuszczał się po-
nury,
Gdy starszy Krzyżak wskazał zamku
mury.

Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,
 Ani swój piersi krył ciężką kolezuga;
 Ubiór miał pazia — lecz pan mu się
 zwierza,

Pan z nim rozmawia nie tak jak ze
 sługą.

Słowa Hugona skryte tajemnicze,
 Często na pazia spogląda oblicze.
 Bo téż oblicze tak piękne, czarowne,
 Spojrzenie pazia tak czule, dobitne,
 I oczy jasne jak niebo błękitne,
 Ćmia długie rzęsy gdy nadto wymowne,
 Włos jego splywa w złociste pier-
 ściennie,

Ale na twarzy smutek, zamyslenie.

Jakiż to rycerz w tę porę przybywa?
 Czarną miał ściśle zamkniętą przy-
 bice,

I czarny pancierz i naramiennice.
 Olbrzymią postać żelazo okrywa,
 Schylił się wchodząc pod wielkie filary,
 Stał w milezeniu i załamał dłonie.

— »Czegoś tu przyszedł?« Rzekł Hugo
 ponuro,

»Czyś jest brat rycerz chrześcijańskiej
 wiary?»

Co mi przynosisz?« — »Twoją śmierć
 Hugonie!...«

Czolo komtura okryło się chmura,

I rzekł do siebie: »Wybadać go mu-
 sze...
 Twa mowa, bracie, śmiercią mi za-
 graża?
 Czyliś gdzie widział Bodelszwingu
 gruszę?
 Czyli z Saudkirchen powracasz cmen-
 tarza?« 1)

Na te nazwiska rycerz spuścił dlonie,
 I mileząc, tylko dwakroć głowę skło-
 nił...

Pielegnowany troskliwie w wazonie,
 W oknach zamkowych kwiat róży się
 plonił. 2)

Zerwał go Hugo i rycerza bada;
 A rycerz mileczy — mileząc wziął kwiat
 róży,
 Do piersi niesie i do ust przyklada.
 Czoło Hugona posepniej się chmurzy,
 Zgasty na licu rumieńcu szkarłaty;
 Ale dowodów jeszcze nowych szuka.
 — »Powiedz rycerzu czyliś jest bogaty?

1) Pod gruszą Bodelszwingu i na cmentarzu Saudkirchen odbywały się wielkie sądy trybunałów tajemnych. Cała powyższa rozmowa jest wy-
 szczególnieniem znaków tajnych po których są-
 dziowie ukrytych zbrodni, jak dzisiejsi wolno-
 mularze, poznawali się pomiędzy sobą.

2) Róża była godłem trybunałów.

Gdzie twoi bracia? gdzie twoja rodzina?«

— »Bogactwem mojem jedna złota sztuka,

Bogactwem mojem są trzy miary wina; 1)

A brat mój tutaj na mieczu wyryty:
W jednej ma ręce wieniec z róż uwity,
A w drugiej sztylet co w krwi wrogatonie.

Tacy rycerze są braćmi mojemu,
Taka rodzina jest w Czerwonój ziemi, 2)
Czy dosyc na tém? czy znasz mię Hugonie?«

Znasz mnie! i dom mój i moją rodzinę.

Sluchaj więc krótkie są wyroku słowa,
Zbrodnia spelniona i kara gotowa.
Znasz wielkość zbrodni — umrzesz za godzinę!

A ty! co pazia pożyczasz ubioru,
Ażeby kazić ludzi świętój wiary;

1) Każdy przyjęty do bractwa tajnych Sędziów, powinien był wykupić się jedną złotą sztuką i trzema miarami wina.

2) Tak nazywała się Westfalia, główne ognisko trybunałów tajemnych, a nazwanie to wzięta od czerwonego koloru swoich herbów.

Tam skąd przybyłaś, wracaj do klasztoru,
 Tam cię czekają wstyd, hańba i kary.«

Wyszedł, a Hugo jak ze snu się zbudził.

»Czy słyszysz luba odgłos jego kroków?

Słyszysz! to poseł okropnych wyroków!

On mi śmierć przyniósł gdy się szczęściem łudził.

O łatwiej! łatwiej było skonać wczora,
 Dziś szczęśliwшему trudniej umierać.

Patrz! xiężyc zaczął przez szyby przeziierać,

Słyszysz jak szumią tam fale jeziora;
 Xiężyc mię żegna, żegnują mnie fale.

A sen mój jaki będzie za godzinę?...
 Lecz próżno! próżno! ja marnie nie zginę,

Mielizby życiem zarządzać zuchwale?
 Czekaj tu Blanko zostawiam w tej sali,

Ten płaszcz, on w boju płatałby mi dłońie,

Ten helm z piórami z nadto kruchej stali,

I miecz ten nadto lekki na ich głowy.

Weź moja luba i krzyż brylantowy,
 On długo! długo błyszczał mi na łonie,

Może ci kiedy przypomni po zgonie...
 Nie, ja żyć będę, chcę żyć moja luba!
 Wszak jam w krzyżackim zhodował
 się domie,
 I nieraz sławy szukałem za domem;
 Mam miecz co zdziwia polaków ogro-
 mem;
 Mam zbroję której stal tak twarda,
 gruba,
 Że ją żelazo żadne nie przełomie.
 Gdy się tak Hugo na boje ustroi.
 Nie wydrą serca z pod żelaznej zbroi.«

„Jest jeszcze inna ocalenia droga.
 Może w świątyni pogańskiego Boga,
 Można się ukryć w jej lochach podzie-
 mnych,
 W krętych przechodach i kryjówkach
 ciemnych;
 Ta droga bardziej pewna i ostróżna,
 Wszak zdradą, zdrady uchronić się
 można.«

To rzekł i wyszedł. Straszna zbro-
 ję wkłada,
 W której już nieraz występował
 w szranki;
 Potém zbiegł szybko przez zakryte
 ganki,
 Do świątyni Boga który gromem włada.

Tu ogień Znicza dymny i ponury,
 Czarne filarów łamały się cienie.
 Szedł rycerz ciemne przeglądając mury,
 Może w tych murach tajemne schro-
 nienie,
 Zbiegów bezpiecznie do świtu za-
 trzyma?
 Lecz przebóg! zadrzał: kamienne bo-
 zyszcza,
 Stojąc w okolo święconego zgliszcza,
 Żywými w niego patrzyły oczyma.

III.

Z G O N.

Nadeszła straszna godzina wyroku.
 Znów wszedł do sali mściciel tajnych
 zbrodni,
 Wszedł pod filary i zatrzymał kroku...
 Przy świetle blado tlejącej pochodni,
 Na dłoni rycerz oparty spoczywa,
 Ofiara śmierci. — Znany płaszcz kom-
 tura,
 Z posepnym krzyżem na barkach mu
 spływa;
 Na helmie znane kołyszą się pióra,
 I dobrze znany krzyż na piersiach
 miga,
 I dobrze znany miecz u jego boku.

Lecz czyliż męstwo tak prędko ostyga?
Hugo ów śmiały, mężny przed go-
dzina,

A teraz śmierci lęka się widoku?
Dla czegoż kryje lica w obie dłonie.
Czy lzy zasłania co po twarzy płyną?
Cichość ponura — »Czyś gotów Hu-
gonie?

Biada ci! milczysz?« Błysnął zamach
stali.

Krzyżak się długo nad trupem nie
bawił,

Sztylet mu w piersiach rozdartych zo-
stawił,

Spojrzał i zwolna wyszedł z krwawej
sali.

Lecz przebóg! drzwi się otwarły
zarazem,

Wszedł młody rycerz. To on! Hugo
młody!

Cały hartowném odziany żelazem,
Męstwem młodzieńcze płonęły jagody.

Wszedł, spojrzał bystro: »Blanko!
Blanko droga!

Poco ten ubiór? te pióra? ta zbroja?
Czemu tak milczysz? Ach na miłość

Boga

Odpowiedz słowo? droga! luba moja

Odpowiedz słowo! przebóg twarz jak
sina?

Jéj dłoń jak zimna! i szklisty blask
oka!

I sztylet w piersiach! Więc biła go-
dzina!

On był tu!...« Zamilkł tak boleść głę-
boka,

I żal tak ciężki jego serce ścisnął.

Piersi pracują jak wzburzone fale;

Na chwilę w oczach płomień zemsty
błysnął,

Lecz go zgasiły nowe lzy i żale.

„Może myślała Blanka nieszczę-
śliwa;

Że mnie swym zgonem od zgonu za-
chowa?

Nie, kiedy szczęścia zerwane ogniwa

Ja mam żyć? luba bądź zdrowa, bądź
zdrowa!«

Xięzyc nad rankiem srebrzył zam-
ku wieże,

Niech on nam powie dalszy los Hu-
gona.

Zbojeccy sądów zniknęli rycerze,

A strasznym losem pana przerażona;

Cała się służba rozbiegła z wieczo-
ra . . .

Hugo już nigdy nie postać w zakonie.
Gdzież się więc podział? niech powie-
dzą tonie!

Niech mówią Nimfy Trockiego jeziora!
Plakały po nim — a gdy z nocy koń-
cem

Słońce promienną ukazało głowę;
Długo w dzień jeszcze ich łązy brylan-
towe,

Na srebrnych lilijach lśniły się przed
słońcem.



Zimorowicz Bartłomiej Jozef.

*Ujrzałem światło, mówi on, w dzień Ś. Bernarda r. 1597. na ulicy glinian-
skiej. Rzeźbiarzem miejskim był ojciec
i miał tu nie wielkie gospodarstwo, Złąd
niedaleko wyzierał z między śliw i ja-
błoni dworek Szymonowicza. Obaj mie-
szczanie znali się osobiście, obaj się
wzniesli zdolnością. Tamten był synem
miejskiego rajcy, ten nim sam został.
Tu się rozchodzą ich drogi. Tamten
kończy nauki w Krakowie, bawi potem
na dworze możnych, w ich towarzystwie,
dla ich poniekąd zabawy przepędzając
życie, ten się czas długi gospodarstwem
zajmuje, później sprawami miasta: dzieli
jego przygody, przebywa klęski, od-
piera obłączenia i takowe opisuje. Trzy
razy szedł pieszo do Częstochowy, po
przebytem szczęśliwie powietrzu, pie-*

niem za uratowane życie dziękując. W pamiętnem 1642. obleżeniu roztropność jego i męstwo ratowały miasto. Mocne zamiłowanie domowych kątów odzywa się często w jego pismach; na nim osnuły charakter tworców jego. „Ustronń ta, mówi o ulicy gliniańskiej, miléj się do mnie nad inne uśmiecha. Ona widziała mój wiek dziecinny, pielęgnowała chłopięcy, młodzieńczy pierwiastkami nauk kształciła. Dym jéj świecił mi w méj młodości jasniej od najpłomienistszych ogniów; a dziś (1648.) pożarami jedz ruskich nad miarę zgęszczony, tzy wy-ciska. Dwieście domów liczyło to przedmieście, teraz w kupę popiołów zmienione, ledwie ma kilka chat; ja jednak zapomnieć o niém nie mogę....*) Z żoną, której zaślubiny Szymon opiewał, żył lat 24, i miał kilkoro dzieci. Rodzice jéj byli właścicielami części przedmieścia Kalicza-góra. „Na téj

*) Viri illustres.

przyczółku, mówi, postawiłem zeszłego lata (1656.) dworek, gwoli własnej rozrywki, jako port mojej starości tuż doganiającej kresu. Często tu szukam schronienia nie chcąc zatonać całkiem w pospolitych sprawach, i na ustroniu słodzę pracą przyjemną społecznej troski gorycze. — *Umarł w późnej starości, kronikę swoją do r. 1633. dociągnawszy. Poetą znał go Szymon Zimor. i takim go czci w swoich Roxolankach, poetą znali go współcześni i sam się nim kilkakrotnie mianuje. *)* — *Jego historią miasta Lwowa pierwotny tytuł Triplex Leopoldis wytłomaczył Marcin Piwocki we Lwowie 1835. Za życia swego wydał w Krakowie brata swego Szymona Roxolanki 1654. W lat zaś 9 po tém wydaniu, a w lat 34 po śmierci Szymona brata swego. wydał pod imieniem*

*) Padło mi pióro gorgonowego rumaka. Temis przywaliła je do barków moich, a gdy Apollo porankowemi promieniami jak niemy posąg Memnona, mię raził, on mię więc brzmiącym, a tamta lotnym zrobiła. Triplex Leopoldis.

tegoż *Sielanki nowe ruskie* swojej własnej roboty w wieku podeszłym jako zabytki po większej części lat młodych. Poważnemu Burmistrzowi nie zdało się na czasie rozstawiać się teraz sielankarzem. Nadto, miła mu była pamięć jego, część ich należała mu treścią, jego więc imie położył na nich, zaręczając im dobre przyjęcie. Wszakże nie myślał tacić się ze swém imieniem przed tymi, którymby na tém zależało i w swoim Troistym Lwowie mówiąc o swój żonie, dodaje: „A chociaż ten prawdziwie ubolewa, który ubolewa bez świadka, świadczą jednak moje sielanki przed kilkunastą laty na świat wydane, w których pod imieniem *Pneumancyi* i *Filorety* żyjącą opiewałem, a opłakiwałem zmarłą. Brat mój w swoich *Roxolankach* *Spiryncyną* ją nazwał, naśladowując poetę, któremu w sercu *Plaucya* a w wierszu *Korynna* była.“ — Wszystkie 17 sielanek są jednej ręki, niemasz ani jednej któraby zewnętrzna

barwą lub treścią inne pióro zdradzała. Zachodzi między nimi taka tylko różnica, jak między wczesnemi a późniejszymi płodami jednegoż pisarza. Jakoż sam wspomina kilkakrotnie z niejakim lekceważeniem o rannych tworach swoich. Do takich liczyć można 3. 10. 12. i t. p.

Bartłomiej Józef miał poprzednikiem Szymonowicza którego cenił wysoce, i jak on składał swe pisma w dwóch językach. Z jego zaletami przejął i wady, z których się z wolna obrząsał. Domowe i obywatelskie zachody, cisnęły mu się pod pióro. Z pod łuski zmysłań greckich, któremi rozpoczyna swój zawód, występuje coraz silniej swojczyzna. Ma on strunę od poprzednika nietkniętą, i dzieje jej z biegłością dotyka. Jeżeli przy Szymonowiczu zostaje chwata: że stworzył polską sielankę; Zimorowicz rozszerzył jej zakres i zrobił w swoim sposobie narodową. Poezyą rzeczywistości jest jego pienie. Rozmait-

szy od poprzednika pomnożył znakomicie szereg swojskich obrazów, które tamten skapo tylko i jakby od niechce-
nia nakreślił, utonawszy z resztą w
grecyznie. Sielanka tak jak w osta-
tku z pod pióra dwóch tych pisarzów
wychodziła, jest szacowném pieniem na-
rodowem. Potrzeba było grubéj nie-
zdatności następców, aby ją zrobić
mrzonką wyszydzenia godną, jakieśmy
ją później widzieli. —

TRUŻENICY.

Miłosz. Leszko. Samujło.

Leszko.

Witajże nasz cnotliwy Miłoszu.

Miłosz.

Dla Boga!

A z kądżeście tu spadli?

Samujło.

Jako się ma? Twa miluchna droga
potomstwo wie dzie się
wam zdrowo?

Miłosz.

Ta jakożkolwiek jeszcze, Pan Bóg za-
brał owo.

Samujło.

A wam nie nie zostawił dla przypłodku?

Miłosz.

Prawie

Z czworga ani jednego.

Leszko.

Obszedł się z wami.
Nie bardzo laskawie

Mitosz.

Owszém gdy z swój wiecznej rady
 Drobiazgi te wziął od nas, pewniej-
 sze zakłady
 Mamy litości jego; bo te cztery świce
 Zawsze przed nim palając, zawsze mu
 rodzice
 Smutne przypominają: żeby za tę szko-
 dę,
 Abo raczej zysk, dał im stokrotną na-
 grodę.
 Dobra rzecz z bujną ziemią handlować,
 mówicie,
 Kiedy cokolwiek w rolę nasienia wrzu-
 cicie,
 Odbierając je potem snopami plennemi;
 I my te cztery ziarna zagrzebawszy
 w ziemi,
 Trzymamy nieomylnie o Boskiej do-
 broci,
 Że się nam ta iścizna i z lichwą przy-
 wróci.

Leszko.

Daj to, przecie mem zdaniem po panu
 bezplodnym
 Politowania, dom jest zostawiony, go-
 dnym.

Miłosz.

Tak pospolicie mówią ludzie wedle
 ciała;
 Lecz że nam szlachetniejsza częśćka
 się dostała,
 Skażeniu nie podległa, nie jako by-
 dła,
 Szczęściem ostatniem mamy, rozmna-
 żać cielecia.
 Ale w błogosławionój wieczności ży-
 jemy,
 Do niej, pókiśmy w ciele grzesznem,
 wędrujemy.
 Tę od nas przepaść dzieli, środkiem
 której, z oczy
 Osierociałych, Prut się nie wesóły
 toczy;
 Rzeka grzeska i mętna, z płaczów
 rzewnych owych,
 I lamentów zebrana gorzkich pogrze-
 bowych.
 Za nią trzykroć szczęśliwe leżą rajskie
 kraje,
 Kędy dzień ani wiosna wieczna nie
 ustaje;
 Gdzie z Barankiem niewinnym nasze
 niewinięta
 Odprawują wesolo nieskończone świę-
 ta.

Że tedy dzieci nasze tę otchlań prze-
 brnęły,
 Że u portu fortunnej krainy stanęły,
 Że i do nas rączęta swoje wycią-
 gają,
 I potem oblapić nas niemi wolę mają;
 Nie lepiejże za niemi do wieczności
 spieszyć,
 Niżeli tu na krótki z niemi się czas
 cieszyć.
 Ale dokądżem zabrnął? prędko od wi-
 tania
 Do niespodziewanego przyszło nam
 kazania;
 Powiedźcież mi, co za wiatr zagnał was
 w te strony?

Samujło.

Dzień świętemu Jurowi z dawna po-
 święcony,
 Którego uroczystość do swego obchodu
 Pociąga gęste kupy Ruskiego narodu.
 Jedni się trużyć, drudzy pokłonić
 Władyce,
 Insi idą oglądać krajów tych stolice.
 A my do ciebie zgoła przyszli w na-
 wiedziny
 Dziwując się, czemuby pierwsze swe
 dziedziny

Porzuciwszy, nad samym trzech pagórków pyskiem
Usiadłeś? i stałeś się światu dziwo-
wiskiem.

Mitosz.

Nie dla dziwów przeniosłem tu gniazdo zaiste,

Lecz nie daleko mając kąciki ojczyste,
Tego miejsca sąsiedzka bliskość, widok miły

Z położeniem rokosznem do siebie
zwabiły.

Wszak mądrzy gospodarze, kędy się
fundują,

Żyzność gruntu, i dobroć nieba upa-
truja.

Bo na tem wszystek człowiek, aby
w zdrowem ciele

Ducha powierzonego lat zatrzymał
wiele.

Jać po prawdzie w pomiernym gruntów
tych okole

Mam sadowinę, ogród, winnice, las,
pole,

Ale iż rok zupełny, ma gębę nie małą,
Nie wydołam intratą tuteczną jój całą.

Ztąd jednak znaczną pomoc dają mi ja-
rzynki,

Owoce, winny dochód i inne przyczynki:

A nadewszystko miasto leżące pod bo-
 kiem,
 Nie tylko oczy karmi przyjemnym wi-
 dokiem,
 Lecz z bogatěj szafarnie rozmaite spiżę,
 I potrzeby do życia wydaje nam świeże.
 Tam naprzód widzieć ranych kwiatków
 pierwociny,
 Łakocie jare, fruktów skorożrych no-
 winy.
 Znajdziesz zawsze na rynku chociaż
 bez jarmarku,
 Więcej żywności, niżli w panięcym
 folwarku:
 Są tam gęste kurniki, zwierzyńce go-
 towe,
 Sadze rybne, i wszystkie wygody sto-
 lowe.
 Milsza mówią przechadzka nad mo-
 rzem obszernem;
 Żegluga przyjemniejsza przy pobrze-
 żu miernem.
 Większą czuje wygodę najmniejsza
 osada,
 Która w sąsiedztwie miastu głównemu
 usiada.
 A nie tylko pokarmem codziennym ży-
 jemy,
 Więcej powietrzem, które co moment
 pijemy:

Ztąd przyjemniejsze zdrowiu altany
 górzyste,
 Że na nich przebywają wiatry prze-
 zroczyście:

I mnie do serca przypadł ten kąt z tym
 padolem,

Iż go nie przykre góry opasały kołem.
 Kiedy wichry szalone z sobą się pa-
 sują,

Kiedy się od gorąca łąki rozstępują;
 Ta dolina jakoby tarczą, gęstym cie-
 niem

Przed burzą mię zakrywa, i letnim
 promieniem.

Bo ledwie, dzień z południa na dół
 głowę chynie,
 Zaraz się cień rozciągnie po wszystkiój
 niżynie.

Pagórki też najpierwój ranny świt o-
 garnie;

Jeszcze dojniki cicho stoją i owezar-
 nie,

A już wierzchem ich Phebus pędzi swe
 poczworne.

Choćże potém za chmury skryje się
 wieczorne,

Tu jednak późne zorze gaszą swe po-
 chodnie

Ostatnie, tu nadedniem palą ogień
 wschodnie.

Potem je Oready nabożeństwem głoszą,
I równo zemną Pana najwyższego
proszą.

Samujło.

Zażby przez górę onę podobną mogile,
Która się z bliska miastu przypatruje
mile,
Gościniec nie był dobry? który nam
przedziwnéj
Do nieba utorował z góry Pan Oliwnéj.

Leszko.

I prawieby przystało nad tym wierz-
chowiskiem
Stanać Hradowi spasa świętego nazwi-
skiem,
Aby nad miastem stojąc, przez czule
strażniki,
Wszystkie jemu nie chętne tłumił
przeciwniki.

Miłosz.

Nie mojej to kalety Samujło nieboże,
Ale Pańskiej szkatuły, stawiać domy
Boże,

Samujło.

Tak nie książęta, ani Panowie Wiel-
możni,
Raczej z pospólstwa nasi przodkowie
pobożni,

Żeby święty dzisiejszy trzymał ich
 w opiece,
 Na garbie mu wydatnym wywiedli for-
 tece;
 Na czym się nie zawiedli: bo do tego
 kraju,
 Gdy przedtym Krymeżukowie wypadli
 z Nahaju,
 Jako czeczotki ludzie po polach zbie-
 rali,
 Zaledwie się o bramy miejskie opie-
 rali.
 Teraz za strażą jego precz w pola za-
 biegli
 Za grody, a przedmieścia w krąg wień-
 cem oblegli.
 I my mu oddajemy coroczne ofiary,
 Aby także hamował od nas złe Tatary.
 Ciebie także upewniam mój dobry Mi-
 loszu,
 Że nie zubożysz swego tym budynkiem
 trzосу,
 Tylko pocznij, a uznasz jako bardzo
 sładnie
 Nad mniemanie ten zamysł do skutku
 przypadnie.
 Ty szczyptą będziesz dawał, a ratunek
 Boży
 Całą garścią do tych się nakładów
 przyłoży;

Cobyś musiał zostawić dziedzicowi
 zlemu,
 Abo wydać zięciowi czasem niego-
 duemu,
 Cobyśłożył na posąg, weselną wy-
 prawę,
 I insze brednie ludzkie, wyłóż na tę
 sprawę:
 A wierz mi, że gruntowniej tym od-
 ważnym czynem
 Imie swe wsławisz, niżli córą abo
 synem.
 Póki lew w przednich łapach potrzy-
 ma trzy góry,
 I Orzeł go okrywać nie zaniecha pióry;
 Póki do Bugu mętna Poltew będzie
 płynąć,
 Nie przestanie hojność twa między
 ludźmi słynąć,
 Którój ani zawisny czas nie zgładzi,
 ani
 Zazdrość niezbedna wiekom następnym
 ją zgani.
 Zwodzą się familie, rodzaje mijają,
 Lecz pamiątki pobożnych nigdy nie u-
 stają.
 Zecheeszli wizerunek po sobie zo-
 stawić,
 Rozkażesz na podwojach z marmuru
 postawić

Dwa posągi, któreby ręce sobie dały,
I tak cię z twą miluchną światu wspo-
minaly.

Miłosz.

Dziękuję wam za radę, jeżeli monety
Jeszcze do niej przydadcie cokolwiek
z kalety,
Pan Bóg ją wam nagrodzi; a teraz na
drogę
Powróćmy naszą: wiedzieć do tych
czas nie mogę,
W czym mię potrzebujecie?

Samujło.

Żebyś nas darował
Pieśniami, któreś teraz nie dawno
uknował.

Miłosz.

Cóż ja za pieśniotwórca?

Leszko.

Trudno się masz zgola
Kunsztów swoich zapierać: niemasz
tego siola,
Niemasz biesiady; ani ślubnego obiadu,
Kędyby nie śpiewano pieśni twego
składu:

Odzywają się w starych i nieletnich
ustach,
A nawet pastuszęta po gęstych zapu-
stach,
Pasiecznicy po borach, owczarze w ko-
szarach,
Najczęściej je na dudkach grają i fu-
jarach.

Miłoss.

Podobno to dawniejsze, ledwie nie
dziecinne
Zawijają się między wami, mam ja
inne
Dopieruchno użęte na latośiej niwie,
Tylko ich proszę chciejcie posłuchać
cierpliwie.

Samujło.

I owszem posłuchajmy.

Miłoss.

A niżli je zaeznę,
Przegrawki jak muzycy puszcze przo-
dy smaczne;
Żaden mistrz nie uczył mię rytmem
słów układać,
Ale sam ledwiem umiał prostym szermem
gadać,

Słyszac przy godowniczych stołach tre-
 fne noty,
 Pojąłem kilka wierszów dość prostej
 roboty;
 Te ustawicznie w głowie jeły mi się
 marzyć,
 Żem się też ich podobnych pokusił ko-
 jarzyć:
 A gdym je w osobności długo w nocy
 klecił,
 Kupido mi nie wielki małą głownią
 świecił,
 I tą podpalił chcący czyli nieobacznie
 Żagiew, która już tlała w sercu mem
 nieznacznie;
 Żagiew gorących chęci pełna z przy-
 rodzenia,
 Z lada iskry podniety bliska i płomie-
 nia:
 Dopiero (jako gdy kto do skrytej
 ciemnice
 Przyniesie niespodzianie zapaloną świecę)
 W głowie mi zajaśniało, żądze zapa-
 lone
 Rozświeciły się, oczy zrzuciwszy za-
 słone
 U jednego dziewczęcia lichego, na
 czele
 Wyczytały do wierszów służące for-
 tele,

Wargi jój Hypokrenem nieprzebranój
wody,

Parnassem zdaly się być rozkwitłe ja-
gody.

I tak gdy jój pilnuję, swych nie strze-
gę oczu,

Zostałem Rymodziejem zgoła po war-
koczu.

Choć na mnie nie kładziono wawrzyno-
wych bobków,

Powiązałem nie mało wierszów jako
snopków,

Zwłaszcza kiedym co w lesie świeże-
go wymyślił,

Natychmiastem po bukach i osikach
kryślił,

Które potem niżeli oczu ludzkich do-
szły,

Chropawą skórą kryski wycięte za-
rosły:

A Wołowcy mniemając, że to stare
Muzy,

Abo Pasterz wyrzezał mądry z Syra-
kuzy,

Jako wyborne pisma z radością czy-
tali,

Potem je między wami śpiewając roz-
siali:

A ja się uszom waszym dziwuję roz-
 pustnym,
Że w nich miejsce dajecie moim plo-
 tkom ustnym;
Com ja z myśli wyrzucił jak nikeze-
 mne śmieci,
To chwytaście dla siebie, i dla waszych
 dzieci.
Nawet teraz samemu sobie ganię srodze,
Żem tak kiedy rozpuścił fochom moim
 wodze.
Jako gdy kto tabaką dymną mózg pod-
 kurzy,
Że się mu rozum zaćmi, fantazya
 wzburzy,
Choć ladaco blazgoni, choć jako wieprz
 krzaka,
Rozumie że na lutni Galatowy brzaka;
Skoro się zaś wyszumi, dopiero żałuje
 Błędów przeszłych, karze je w sobie
 i strofuje.
Nie inaczej Paphijczyk głowni swojej
 wrzawą
Baczenie mi zaślepił smrodliwą ku-
 rzawą,
Żem jak w odmęcie chodził, nie tam
 gdzie mi radził
Rozum, ale kędy mię śleporod pro-
 wadził.

Przetoż wyjąwszy z ust mych wstydlive wędzidła,
 A przyjąwszy młodości mojej bystre skrzydła,
 Zaniósł mię do Szaraju, gdzie cienka podwika
 Nauczyła mię swego miękkiego języka:
 Jam lubo cicho szeptał, lubo śpiewał krzykiem,
 Zawżdy się słyszeć dawał niewieścim językiem,
 Tusząc sobie że przez te Fraucymerne baśnie,
 Imię swe Białej Rusi najlepiej objaśnię.
 Aż kiedy w piąty snopek kłosy moje wiązę,
 Widzę iż je tą sprawą w ciemnej noccy grażę;
 Z czasem i zapalczywa chuć we mnie ostygła,
 Za laty popędliwe opadły mię skrzydła.
 Dziękujęci starości! iżeś przytępila Rogów bystrości mojej, których żadna siła
 Poskromić niezdolała; tyś bieżące czwałem
 Zatrzymała hamulcem myśli moje trwałem;

Za twojem cichem przyjściem, odbiegły
 mię fochy,
 Które o zgubę umysł przyprawują
 plochy.
 Czas, doktor najpewniejszy, gdy mi
 laty dojął,
 Nauczył mię lekcyi, którejem się pojął,
 Pokazując, że miłość nie prawym jest
 sędzią,
 Bo rzeczy wszystkie mierzy chciwości
 swój piędzą;
 Odwagi, ciężkie prace, i nieznosne
 grzechy,
 Lekkim gwiehtem odważa króciuchnej
 nciechy;
 Sprosności swe, przypadki, utrapienia,
 mary,
 Piękną twarzą pokrywa anielskiej ma-
 szkary;
 Właśnie jako Syrena postawą dziewi-
 cza,
 I przyłudziwszy flisów muzyką słowi-
 cza,
 Ogonem smoczym wkoło gachów swych
 zamyka,
 Potem wszystkich okrutnie z okrętem
 polyka.
 Także miłość kiedy się do człowieka
 łasi,
 Wystawia mu cukrową gębusię u Kasi,

A pokrywa zdradliwie rzeczy jój osta-
 nie :
 Gdy go takową łatką do swój zwabi
 matnie,
 Srodze tyranizuje. Wiele posiadał
 włości,
 Kto wyuzdanój przybrał munsztuka
 młodości,
 Bo większa cheiwoś ludzka niż serce
 człowiecze ;
 Ztąd gdy kogo pragnienie pod czas
 żniwa piecze,
 Rozumie że Dniestr duszkiem głęboki
 wyżłopie,
 Choć go potem ugaszą wody kilka kro-
 pic.
 Niemniej świeckie przyłudy gdy tra-
 pią człowieka,
 Smaczne i piękne nader zdadzą się
 z daleka,
 A skoro do rąk przyjdą one dziwowi-
 ska,
 Kureczą się, i maluczkie stawają się
 zbliska.
 Kiedy pierwsza krew memi chęciami
 rzucała,
 Dziwnie mi swe wygody słodko cu-
 krowała,
 Ale iż pełne były próżności znikomój,
 Nigdy nie nasyciły myśli mój łakomój :

KOZACZYNA.

Dorosz. Ostafi. Wojdytło.

Dorosz.

Żywo widać Pánowie?

Ostafi.

I sami nie wiemy,
Czyśmy nieboszczykami, czy jeszcze
żyjemy.

Dorosz.

Czemuż to?

Ostafi.

Jeszcze pytasz? jakobyś przy-
chodniem

Nie dawnym był do Ruskich krajów
przed tygodniem.

Wojdytło.

Zaś niewiesz, co nas wszystkich, i na-
szą ojczyznę

Potkało w nieszczęśliwą teraz Kozac-
czyznę?

Kiedy zbójcy domowi, znajomi na-
szyńcy,

Zprzysięgłszy się na swą krew z brzyd-
kiemi Hordyńcy,

Ze wszystkiego do skóry zdarłszy nas
dostałku,
I samych zaprzędali pohańcom w osta-
tku.

Ostafi.

Nigdy tak zajązzeni nie są i zajązenci,
Na krew uciekających myśliwców,
Lamparei:

Nawet tak okrutnemi nad biednemi
brańcy

Nie byli, i nie będą nigdy Bisurmańcy,
Jako nasi sąsiedzi i pobratymowie,
Co się z nami kumali, z nami héj! su-
rowie

Postąpili, złupiwszy, nas samych i
działki

Wydali nasze niecnym Tatarom na
jątki;

Na chudobę, na duszę, na krew swo-
jój braci

Niewinną nastąpili niezblągani kaci.

Wojdyłło.

Tak się z nami obiema tego roku stało,
Zdarto nas do koszule, potem grzeszne
ciało

Haniebnie skatowawszy, gorzej niż na
męce,

Za lada co w pogańskie zaprzędano
ręce.

Tak to wierni druchowie, nie raczéj
 psi wściekli,
 Sam tylko nam Bóg pomógł, iżeśmy
 uciekli
 Z więzów nieprzyjacielskich, już to
 trzy niedziele,
 Nie nie uniosłszy, tylko trochę duszy
 w cieie.

Dorosz.

Cóż mi to powiadacie, jakobym w téj
 szkole
 Nie był i ja, i w tymże nie leżał ro-
 sole;
 Nie uszedłem powszechnéj z wami ta-
 rapaty,
 Popalono mi gumna, stodoły, pnie,
 chaty,
 Czeladkę, jakoby proch, na który
 wiatr winie
 Gwałtowny, rozproszono w jedneje
 godzinie.
 Bydła mi nie zostało ani jednéj sierci,
 Sam także wróciłem się za ledwie od
 śmierci.

Ostafi.

O Doroszu, Doroszu, na jakieśmy
 czasy
 Przyszli! o których starsi nie slychali
 nasi,

Czegośmy nieszczęśliwi ludzie docze-
 kali!
 Słudzy nam, héj niestetyż! słudzy pa-
 nowali,
 Nasi własni najmici, smrodliwi gnoj-
 kowie,
 Nam panom swym dziedzicznym usiedli
 na głowie:
 Ono chłopstwo nিকেzemne, bezecni
 hultaje,
 Szczęśliwe niegdy Ruskie splindowali
 kraje,
 Które miodem i mlekiem przedtym o-
 pływały,
 Dziś się łzami gorzkiemi i krwią swą
 zalały.

Doroż.

Kto się kiedy spodziewał, żeby wy-
 paść miały
 Z tak małuchnej isierki tak wielkie
 zapaly,
 Których ani obfite łzy ugasić mogą,
 Ani krew wytoczona powodzą tak
 srogą:
 Nie umiano téj iskry zalać wody kropią,
 Teraz pożóg jój wielkie rzeki nie za-
 topią.

Do takiej nas niewoli zbyteczne swo-
 body,
 I łakomstwo przywiodło do tak zna-
 cznej szkody,
 Że wszystkie zbiory nasze, i ozdoby
 pańskie,
 Poszły ua łup poddanym, i w ręce
 pogańskie.
 Wyrabowano miasta prawie aż do
 gruntu,
 Które nie pomagały zdrajcom tego
 buntu.
 Splondrowano fortece, zamki, twier-
 dze, dwory,
 Zburzono monastiry, i wszystkie kla-
 sztory.
 A nad co żałośna rzecz żadna być nie
 może,
 Splugawiono ołtarze, także domy Boże.
 Pohańbione świątości, pobożne świą-
 tynie,
 W łotrowskie obrócono (żału nasz!)
 jaskinie.
 Starzy Hospodynowie, cerkiewni śpie-
 wacy,
 I nie wiedzieć kędy się rozbieżeli
 Dziacy:
 Jedni pokatowani z duszami się męczą,
 Niektórzy w Perekopie kajdanami
 brzęczą.

Czernice poślubione Bogu, jawnej
 psoty,
 I małżeństwa nie uszły wszetecznej
 sromoty:
 Wstyd paniński na niewstyd psom
 Krymskim wydany,
 Niewinne obrócone dziateczki w po-
 gany.

Ostafi.

Gdzie przedtym stały karczmy, folwar-
 ki, wsi ludne,
 Teraz wszystko pokryły popioły po-
 pudne:
 Gdzie one pyszne dwory, niedobyte
 grody?
 Gdzie słomiane chalupy i wiejskie za-
 grody?
 Poszły z dymem do nieba, zginęło Po-
 dole
 Nasiadłe, tylko z niego niebo dziś a
 pole.

Wojdytło.

Żaden kąć od pogańskiej i chłopskiej
 nawaly,
 We wszystkiej Rusi zdrowy nie zo-
 stal i cały.

Skryte tajniki, lochy, pieczary ta-
jemne,

I głębokie zmacano wnętrzości pod-
ziemne:

Już to przez zabobony, gusła rozmaite,
To przez próby i pytki nader wyśmiej-
nite,

Zbadano utajone po jamach chudoby,
Nawet zmarłych odkryto nieboszczy-
ków groby,

Trupów ropą ociekłych, przebutwia-
łych drugich,

Odarto wespół z skórą zgniłą z ko-
szul długich.

Nie inaczej, jak stado paskudnych
świń z głodu,

Kiedy plot rozrzuciwszy, wpadnie do
ogrodu,

Pyrcia, biega, wierci się, pyskiem ry-
je wszędy,

Aż wywróci nogami wzgórze wszystkie
grzędy.

Tak halastry Zadnieprskiej zkozacz-
ne tłumy,

Kraj Ruski obróciły w perzyny i runy.
Ostafi.

A takięj im roboty, i niecznośnych
zbrodni,

Duchowni pomagali, wspomnienia nie-
godui,

Prawie, aby nas żywcem i całkiem
 pożarli,
 Samego piekła na nas paszczękę roz-
 warli.

D o r o s z.

Czego nas nabawiły domowe rozruchy,
 Nie tylko nam dojadły Ukraińskie
 muchy,
 Ale i wielkim Panom, aż musieli sta-
 dem
 Na rączych przed tym umknąć za Wi-
 słą owadem.
 Przecie Powołoszczyzny i tam im do-
 bodły,
 Ledwie na ostatni hak Polskiej nie
 przywiodły,
 Że już na cienkiej nici Korona wisiała,
 Sam tylko Bóg ją trzymał, że się nie
 urwała,
 Jakom słyszał od księdza Łackiego
 w niedziele,
 Kiedym był na kazaniu z sąsiady w ko-
 ściele;
 Tenże przypomniał krówkę, co się ła-
 gnie w gnoju,
 Skarabrusem ją nazwał, jakoby do boju
 Przyszędłszy z bystrym Orłem, tak dłu-
 go swojemi
 Glutami nań strzelala zawsze smrodli-
 wemi,

Aż onę czerepachę Pan lotnego pta-
 stwa
 Musiał jednać, nie mogąc znosić jój
 plugastwa:
 Bowiem i na wysokie drzewa za nim
 lazła,
 I na Jowiszowym go podółku znalazła,
 Tak, prawi, (kaznodzieja tenże mówił)
 dzieci,
 Z szpetnym nieprzyjacielem wojna pań-
 stwa szpeci.

Wojdytło.

Raczej to panom, niżli nam należy
 wiedzieć,
 Chociaż przed tą gawiedzią i my się
 wysiedzieć
 Nigdzie nie mogli, jako żywi, tak
 umarli,
 Dobrze, że się do nieba samego nie
 wdarli
 Niezbożni olbrzymowie, alić nie po-
 trzeba
 Na wojnę świętokradzką chodzić im
 do nieba;
 Należli i na ziemi, jako z Bogiem
 mieli
 Walczyć, kiedy czartowskie ręce pod-
 nieść śmieli

Do tego prawosławnych chrześcijan
tak wiele
Pomordowali oraz na duszy i ciele.

Wojdytło.

Ludziec byli, ale tak z ludzkości obrani,
Właśnie, jakby z podziemnej wypadli
otchlani,

Oprócz wierzchniej postawy i głosu
ludzkiego,

Nie więcej nie mający w sobie czło-
wieczego;

Okrutniejsi nad Tury, i dzikie bestye,
Zjadlejsi nad jaszczurki, padalce i
źmije:

Ktokolwiek się nagodził, z téj saméj
przyczyny,

Ze był człowiekiem, a nie chłopem
z Ukrainy,

Zabijali bez braku, i wszystekby byli
Gmin pospolity oraz na głowę wybili,
Tylko, że Tatarowie przed śmiercią
tyrańską,

Wiele jeńców kupili w niewolą po-
gańską.

Ostafi.

Bo nawet którymkolwiek przechodzili
śladem,

Parą swoją piekielną, i szatańskim
jadem

Włości całe, powietrza, wody, gumna,
 pola,
 Obory zarażali, i wszystkie żywiola,
 Ze więcej po odejściu pospółstwa po-
 marło,
 Niżeli w bytności ich żelazo pożarło.
 Jeszcze od tego czasu wszędy bydło
 padnie,
 Jeszcze i pomarlica panuje szkaradnie.

D o r o s z.

Wprawdzie moja czeladka ze wszystką
 oborą
 Do Derewacza uszła, i tamże pod górą
 W zasieczy wysiedziała przed tą bu-
 rzą, ale
 Skoro tylko do domu powróciła wecale,
 Na pował chorowała, ledwie przebo-
 lało
 Kilkoro, a z bydła mi rogu nie zo-
 stało.

W o j d y ł ł o.

I mnie odeszły dojne Czabanki, i owce,
 Tylko dwie zimowane zostały jałowce,
 Dla tegośmy tu bydła dokupować
 przyśli.

Doros.

I ja toż przedsięwzięcie mam dawno
 na myśli,
 Przysposobić cokolwiek macior dla
 przyplodku,
 Aże jutro krasny targ będzie pewnie
 w Grodku,
 Pójdziemy rano z sobą wszystko troje
 w kupie,
 Dziś przenocujcie zemną pospołu w cha-
 łupie;
 A póki nam wieczery skrzętna go-
 spodyni,
 I kołaczów z słoniną świeżą nie uczyni,
 Usiadłszy na murawie pod wierzbami
 w cieniu,
 Pogadajmy o przeszłym naszym utra-
 pieniu.
 Wszak i jaskółki skoro na wiosnę
 wyleca,
 Bez przestanku się głośno witając
 szczebieca,
 Rachując wiele żywych, wiele zmar-
 łych w wodzie;
 Miło wspomnieć przypadki przeszłe na
 swobodzie.

Wojdytło.

Lepiejby zapamiętać wiecznie Kozaczyny,
 Niżli ją odnawiając, zagajone blizny
 Drażnić; lecz, że inaczéj wam się
 dwiema zdało,
 Wiéć ja powiem najpierwiéj, co się
 zemną działo.
 Jako przyszłą nawałność żeglarzom na
 morzu
 Gwiazdy opowiadają: tak na Zaporozu
 Burdę Kozacką, gdy się zaczynała
 właśnie,
 Wiele praktyk domowych wróżyło nam
 jaśnie:
 Nie było żadnéj nocy, śmieie to rzec
 mogé,
 Którejby nie trąbili kundysi na trwogę;
 Nie było dnia, żeby weń stare wrony
 wieszczé
 Nie miały krakać rano: a co powiem
 jeszcze,
 Żadnego roku wiley większemi ku-
 pami
 Nie wili się naszemi między koszarami;
 Nawet się z domowemi spachawszy
 sobaki,
 Szkody w trzodach czynili, azaż to
 nie znaki

Unij niezwyczajnej, która biesa z krzy-
 żem
 Pobratała? Krym dziki zjednoczywszy
 z Niżem;
 Nuż, gdy najwięcej chmielu w zapu-
 stne ostatki
 Zażywaliśmy, azaż w tenże czas na
 klatki
 Wiejskie, i na pałace pańskie z wscho-
 dniej strony
 Szturmowny wiatr i wieher wypadłszy
 szalony,
 Odzierając poszycia, łupiąc domy z da-
 chów,
 Prędko następujących nie był wieszcz-
 kiem strachów.
 Lecz, kogo Bóg pokarać chce, zdrową
 mu radę
 Odbiera; też ja miałem na rozumie
 wadę;
 Nie pokładałem sobie w pamięci tych
 wrózek,
 Ani obawiałem się niebieskich prze-
 grózek:
 Aż kiedy jednym razem z za Dniepru
 wypadła,
 Z trzaskiem i lyskawicą straszna chmu-
 ra nagle,

Kiedy przed jój potopem, i kamien-
 nym gradem,
 Kędy kto mógł, uciekał; dopiero ich
 śladem,
 Nie dowierzając bagnom, ani trzęsa-
 wicy,
 Umknąłem z domem wszystkim do Ru-
 skięj stolicy:
 Tam Proskurnica cerkwie Krotoszyń-
 skięj w bramie,
 Po cobym się tak cisnął usilnie? spy-
 ta mię:
 Gdym powiedział: kącika poszukać nie-
 wieście,
 Nie osiedzisz się, rzeczce, nieboraku
 w mieście;
 Jako zdzierzą potęgę mury ladajakie?
 Któręj nie mogły wojska wydolać tro-
 jakie?
 Płacz mi nie daje mówić, ale miasto
 zginie,
 I ktokolwiek się w ten czas żyjący na-
 winie;
 Raczej, iż są Kozacy jednęj z nami
 wiary;
 Jednegoż zażywamy chrzestu i ofiary?
 Do katedry Władyczęj Święto-Jurskięj
 radzę
 Uchodzić wam, i sama tam się wy-
 prowadzę,

Przecieć i na krew swoją, i mitrę
 Władyczą,
 I na świątnię będą mieć wzgląd mę-
 czenniczą,
 Co ja słysząc, i widząc ludzie rodu
 mego,
 Z miasta, jako z okrętu już już toną-
 cego,
 Wynoszące sprzęty swe, i różne tłó-
 moki,
 Ustąpiłem na górę z żoną bez odwłoki,
 Alem trafił pod samą rynnę z deszczu ;
 bowiem
 Nazajutrz po wtargnieniu (że co pra-
 wda, powiem),
 Tatarowie z Kozaki, jako gęsta chmura,
 Najprzód na cmentarz wpadłszy do
 świętego Jura,
 Kilka tysięcy ludzi, którzy tam ucie-
 kli,
 W oczemgnieniu pobili, i na śmierć
 posiekli,
 Niektórych powiązali Tatarzy w su-
 rowce ;
 Tak, kiedy kupa wilków wpadnie mię-
 dzy owce,
 Żadnej całej nie puszcza, abo gdy ja-
 strzębi
 Ze wszystkich stron uderzą na stado
 gołębi,

Choć się z strachu tego przyczają
 do ziemi,
 Przecie wszystkich poszarpią pazurami
 swemi.
 Tak tu najmniejsza dusza śmierci abo
 łyków
 Nie uszła suchą nogą jawnych rozbój-
 ników ;
 Baluch okropny z wrzasku, lamentów
 i pisku,
 Umierających jako na pobojewisku,
 Tu dzieci, tu niewiasty, tu leżą tułowy,
 Tu pomieszane w kupę walają się
 głowy.
 Wozów liczba bezmierna już pozako-
 wanych,
 Tamże mało widać skrzyń porabowa-
 nych ;
 Bacząc my to (a było nad tysiąc nas
 wiecój,)

W cerkwi drzwi zamknęliśmy drąga-
 mi co precój,
 Rozumiejąc, że nas dom Boży w onój
 toni
 Swoim poszanowaniem od szwanku o-
 broni,
 Lecz prędko nas otucha oszukala bła-
 cha,
 Bowiem do cerkwi wszystka przypadł-
 szy Watacha,

Ze czterech stron poczęła lamać oraz
 mury;
 Jedni z nich lud gromadny strzelali
 przez dziury,
 Drudzy tlnkli ciężkimi fortę taranami,
 Niektórzy dziurawili ściany kilofami:
 Insi przebiwszy zwierzchnie młotami
 sklepienie
 Szpuszczali na gęsty lud orklowe ka-
 mienie;
 Aż niektórzy od strachu napoly po-
 marli;
 Aż kiedy się oprawcy drzwiami do
 nich wdarli,
 Przesieczy siekierkami przez nacisk on
 srogi,
 I przez ciała czynili martwe sobie
 drogi:
 Tamże jeden drugiego dusił w tym
 hałasie,
 Jeden drugiego krwią swą napawał
 w téj prasie;
 Że nie zadługo cerkiew pospołu z przy-
 tworem,
 Krwawą sadzawką, ciepłem się stała
 jeziorem:
 Dopiero jako snopie biorąc z wielkiej
 kupy,
 Przerzucali na stronę obnażone trupy;

Insi ustawnie hałaj, bre gaur, wo-
 łali,
 Żeby się Tatarami nie Rusią być zdali.
 Takowe wyprawiwszy do południa
 sztuki,
 Ci odjechali, graty powiązawszy
 w juki,
 Po nich zaraz nadeszli z rydlami ko-
 pacze,
 I nad pierwszych trzy razy ciekawsi
 badacze:
 Ci już kruszczu szukając otworzyli
 groby,
 Ruszyli wszystkie trunny i zgnile o-
 soby,
 Z których zdzierali ropą obewrzale
 szmaty,
 I zaraz się dzielili zbutwiałemi platy,
 Na ostatek wołając, proszczaj światy
 Juru,
 Oberwali na ziemię obraz jego z muru,
 Większe tablice rąbiąc jako drwa lu-
 pali,
 Aż mię też w skalubinie onęj wyma-
 cali,
 Natychmiast żegnając się krzykną, buch
 ne mara,
 Ja na to, ej czolowik, ta i wasza
 wiara,

Ale masz denhy Lackie, skoro to wy-
rzekli,

Jako mysz z onój jamy za leb mię
wywlekli,

I obrali do naga, jedni za kaletę,

Drudzy za trzos, aże w nim naleźli
monetę,

Ho, ho, ho krzyknęli, ty muzyku ko-
zackie

Nieprzyjaciele nosisz z sobą, zdrajce
Lackie,

Garłowa to jest sprawa, i nie lada-
jaka,

Ale żeś chrześcijanin, a nie Lach so-
haka,

Czynią ci Attamani łaskę, (dziękuj
Bogu)

Abyć trochę czupryny przycięto na
progu.

Już mię jeden siekierą do progu przy-
wodził,

Aż się we drzwiach Tatarzyn z tra-
funku nagodził,

Ten opończę Kilijską z kostrubatycki
sierci

Dawszy im, wybawił mię od zabitej
śmierci ;

Sam na smyczy jako psa wprowadził
do koszu,
Kędy com przez pulroka ucierpiął
Doroszu,
Nie spisałbyś wszystkiego na wołowej
skorze,
Dam pokój, bo już widzę blisko pod-
wieczorze,
Niech też o swojej biedzie powie nam
Ostafi;

Ostafi.

A któż to wypowiedzieć wszystko do-
brze trafi:
Powiem to, co pamiętam; ja ni o czym
zgoła
Nie wiedziałem, aż wpadli Tatarzy do
siola;
Tam gdy jedni za dzieci, a za żoną
drudzy,
Ledwiem się na pastewnik wymknął,
za mną śludzy,
I uszliśmy do lasa, ztamtąd bez od-
włoki
Przyszliśmy na roświcie pod zamek
wysoki,
A już pełno w kurniku ludzi było
onym,
Ni strzelbą, ni żywnością słusznie o-
patrzonym.

Byłóć w czapkach baraniach drabów nie-
 mał dwieście,
 Których okolo jatek nazbierano w mie-
 ście ;
 Umieli z kobył strzelać, tylko z ka-
 pitanem
 Porucznik ich już dawno dyszeli za
 Sanem ;
 Przez eo i rząd nie mógł być bez paste-
 rzów w trzodzie,
 Zbiegło też tam podzamecze, i wszystko
 Podgrodzie ;
 Stało i parę działek bez kul, i bez
 prochu,
 Inszego było ze trzy tysiące motłochu,
 Wszystko pijacy głodni, którzy mia-
 sto walki,
 Wytrząsali biesagi babom i kobiałki :
 Miasto warty hajducy wodę szynko-
 wali,
 A drożój ją niżli miód pity przeda-
 wali.
 Kiedy się tak morzemy na onój
 wierzehnicy,
 Piątego dnia przypadli do nas bunto-
 wnicy,
 Okrywszy zewsząd górę jako mgłą
 szarawą,
 Jedni strzelali, drudzy bieżeli knam-
 ławą.

Tamże Tatarzy z góry puszczałi na-
 wiosy,
 Huk wielki z obudwu stron w same
 bił niebiosy.
 Skoro tedy w pół góry wbiegła ta li-
 chota,
 Potym na odsiecz z muru, puszczoneo
 pociski,
 Leciały tam kamienie, cegły, garnki,
 miski,
 A wziąwszy pochop z góry, kogo tyl-
 ko w drodze
 Potkały, witały go po głowie, po
 nodze,
 Ten grad chmurę rozpedził chłopską,
 część jej wielka
 Poszła wzad, wywracając aż na dół
 kozielka.
 Drugi raz niespodzianie, aniśmy po-
 strzegli,
 Kiedy krzywonosowi łotrowie przy-
 biegli,
 I poczęli dziurawić bindasami mury:
 Tatarowie też strzały puścili jak
 chmury,
 Że po wszystkim jako szezeć gęsto
 tkwiały dachu,
 W ten czas nabraliśmy się aż po u-
 szy strachu,

Atoli to ognistą strzelbą, to cygańską,
Ledwieśmy odegnali szarańczę szatań-
ską.

Miasto południowego broniło też boku,
Patrząc do nich ustawnie z hakownic
po oku:

Potem głód niesłychany piechocie do-
kuczył,

Że wielu do kozaków przedawać się
uczył.

Na ostatek nie stało prochu im, i lon-
tów,

Aż musieli niektórzy knoty robić
z gontów;

Przetoż nocą do miasta ustąpił bur-
grabi

Rzkomo dla potrzeb, za nim poszli
wszysey drabi,

A nieprzyjaciel w zamek opuszczony
marnie

Wpadł, jako wiley zwykli wpadać do
owczarnie,

I tam gmin pospolity krzyczący żałością,

Siekierami na ziemię walił jako sośnie;

Nie przepuścił białej płci, ani dzie-
tkom małym,

Niby w lesie gęstym drwa siekl wszy-
stkich zachalem.

Na ostatku pobitych odzierał z odzieży,
 Jam na wierzchu narożnej wysiedział
 się wieży,
 Od strzał Tatarskich deszczką przeciw
 się zakładał;
 Aż kiedy już samopał kozak do mnie
 składał,
 Musiałem na dół zstąpić; a on mnie
 do naga
 Oblupiwszy, kiścieniem jak smaga,
 tak smaga,
 Abym powiedział, kędym pieniądze za-
 chował?
 Gdym go prosił, żeby mi jak swemu
 folgował.
 Rzekł na to, żeś ty Rusin Kotiuho
 niedoszły,
 Bo mięsem Lackim Ruskie kości two
 obrosły,
 Przeto jeżeli się dostać chcesz z nami
 do nieba,
 Obić ci mięso Lackie z kości Ruskich
 trzeba;
 Jakoż mię tak okładał bez wszelkiej
 litości,
 Że mi nie kędy mięso odstalo od kości,
 Zbiwszy mię tak na miazgę onym ba-
 salykiem,
 Zawolał na Tatary mijające krzykiem,

Kardasim, daj mi który Szmailską kul-
 bakę,
 A ja mu za nią tego daruję sobakę;
 Prędko się znalazł kupiec, który gdy
 mnie zwodził
 Z zamku, w posocem ludzkiej wśród
 goleni brodził,
 Bo tak była obfitym krew wylana
 stokiem,
 Że na dół wypadła przez bramę ry-
 sztokiem.
 Za prawdę nie tańszego nie było w one
 dni
 Nad człowieka, i żywot ludzki bar-
 dzo biedny;
 Lada szuja, by śmierdział kobużni-
 kiem tylko,
 Mógł zamordować ludzi na każdy
 dzień kilka,
 Bez karania, i owszem, tym się wię-
 ciej chlubił,
 Że swą ręką tak wiele głów niewin-
 nych zgubił.
 Żadensię nie obawiał za to Boskiej kary,
 Trzymając to, że miłszej na ten czas
 ofiary
 Nie mógł Bogu uczynić, jako Lackie
 plemię
 Wybiwszy, oswobodzić z niego Ru-
 ską ziemię:

Przetoż wszędy leżało pełno, jako
 cieleców,
 Porzezanych ciał ludzkich od onych
 wisielców.
 Nie było, i nie będzie, (prawdę wy-
 znać muszę)
 Okrutniejszych tyranów nad Ruskie ka-
 tusze.
 Jeszcze do tychczas pomsty krew nie-
 winna woła,
 Ta sama kiedykolwiek Ruś zagubi
 zgoła.
 Nie rychły Bóg, lecz łuczny, każde-
 mu wygodzi,
 Za przestępstwem niemałem wielka
 pomsta chodzi.
 A nie długo czekając, samo chłopstwo
 grube
 Widzi, że się porwało na swą własną
 zgubę.
 Już to Rusi zginęła niemal połowica,
 Po większej części pusta stoi ich zie-
 mica,
 Nie tak od szabli Polskiej, jako swo-
 ich zbojców,
 Bilić to bracia bracia, a synowie
 ojców,
 Więcej ich niż milion zabrali Tatarze,
 Więcej Rusi niż bydła w Turzech
 na bazarze.

Wszystkie hordy pogańskie, Tehinie,
 Stamboly,
 Azye obie śmierdzą już od Ruskiej
 smoły.
 Więc o wiare wojują, cóż będzie
 po wierze,
 Kiedy się pokolenia Ruskiego prze-
 bierze.
 Pewnie wróblom nie ludziom wscho-
 dnia cerkiew święta
 Przyda się; kiedy wierni wyginą do
 szczęta.

D o r o s z .

Dostyc o tem dziś będzie, już też słoń-
 ce siada,
 Już i wieczór w ciemnej mgle za la-
 sów wypada;
 Jutro sobie ostatek téj burzy powiemy,
 Teraz ją (proszę z sobą) wieczera
 zajemy.

BURDA RUSKA.

Dorosz. Ostafi. Wojdyłło.

Jeszcze czujna jutrzienka po nocnej
kąpieli,
Wczasowała spotniała członki na po-
ścieli,
Zaledwie co na ziemię upragnioną
rosy
Wycisnęła rękoma z utraconej kosi,
A już goście wczorajsi myśleli o dro-
dze,
Odprawiwszy on nocleg w nieslycha-
nej trwodze:
Bowiem nabiwszy sobie głowy prze-
szłą wojną,
Dla snów straszliwych i noc mieli nie-
spokojną;
Ledwie który z nich chcąc się uspo-
koić zdrzymie,
Zda się mu, że go wiążą, sieką, tłu-
ką w Krymie.
Wyszli tedy na drogę, jeszcze nie
przygasły
Gwiazdy zaranne, które słońcu w dro-
gę zaszły,

Ażci ona hałastra, drużyna zbierana,
 Słyszac na jaką służbę, do jakiego
 Pana,
 I pod czyją chorągiew zaciąg uczyniła,
 Na wszelkie się niewczasy i śmierć
 odważyła.
 Z onych wzgardzonych Hunków, Ko-
 ziarzów, Rolników,
 Namnożyło się Wodzów, Strzelców,
 Pułkownikow,
 Którzy chodzili przedtym, jakoby u-
 marli,
 Z wojskiem niezwycięzonych Sarmatów
 się starli;
 Aże im kredensował w potrzebie gniew
 Bozki,
 Sam im serca dodawał, a straszne
 przegrozki,
 Puszczal na wojska Polskie, nie ich
 bron, nie oni,
 Ręka Bozka wygrała, która przy ich
 broni
 W ten czas bila, która ich biczami
 chłostała
 Syny zapamiętałe, ta plac otrzymała;
 Przetoż nie tak przed chłopstwem i si-
 łą pogańską,
 Jako przed straszną ręką uchodzili
 pańską,

Unosząc głowy eale, i głowy niezbite,
Na sercaca tylko mając sztychy nie
odbite.

Co ja widząc (bom w ten czas przy go-
ścińcu właśnie
Role pokładał) że się grobla rwała
strasznie,

Spodziewając się prędko walnego po-
topu,

Kazałem służebnemu dnia doorać chłopu,
A sam co prędzej wzięwszy na kolasę
dzieci,

I samą, także trochę domowych ru-
pieci,

Ujachałem do Lwowa: tam już pełno
wszędy

Było żołnierstwa, żem też nie miał
stanać kędy,

Musiałem odpoczywać z dziatkami i zo-
ną

Na błotnym targowisku kilka dni przed
broną,

Kędy slyszalem, że się pokrzepić woj-
skowi,

I mieli dać pod miastem wstręt nie-
przyjacielowi,

Lecz zaledwie Tatarskie zagony w po-
goni

Przyśpiały, rzuciło się co żywo do
koni,

I niesłychanym pędem odbieżało miasta,
 W ten czas się moja z dziećmi wemknę-
 ła niewiasta
 Do bramy, ja niżelim dobieżał na blo-
 nie,
 Porwali mi Ciurowie na pasy dwa
 konie.
 W tym powrócę do miasta, a tam peł-
 no trwogi,
 Aż mi z przestachu febra uderzyła
 w nogi,
 Bo kilką oraz bębnow zbierano pie-
 chotę
 Tak z pospólstwa luźnego, domową,
 jako tę
 Która z Pilawieckiego zabięła po-
 gromu;
 Mieszczanie też na ten huk, każdy
 z swego domu
 Armatno wypadali, a już Pułkownicy
 Z chorągwiami pieszemi stali na ulicy.
 Ci gmin wszystkim na pulki rozdzieli-
 wszy cztery,
 Każdemu z nich na wale rozdali kwa-
 tery;
 Na czele co przedniejsi, i celniejsi
 męże,
 W Arkabuzy donośne, i insze oręż
 Wojenne opatrzeni, a w tyle nich różni
 z kosami, oszczepami, swoi i podróżni.

Po basztach okolicznych i murowych
blankach

Cechowi rzemieślnicy stali w swoich
szrankach:

Gdy tak uszykowana warta nocy czeka,
Ognie się pokazały wieczorem z daleka,
Znak Tatarskich zabiegów; przetoż u-
derzono

Z dział, które już na waly za dnia wy-
wieziono.

Potem całą noc ognie widać było sro-
gie,

Które wsi w okolicy palily ubogie.
Nazajutrz koło miasta Tatarskie za-
gony

Stały pod szkapiemi zdaleka ogony,
Do nich skoro pod same śniadanie z po-
ranku

Poczęto bić z armaty wielkiej bez prze-
stanku.

Skoczyli do przedmiejskich wielkim
pędem śląków,

Lech ich tam przedmieszczanie razili
z pułhaków.

Śmieie jednak Tatarzy konno nacierali,
Aż mieszczenie przedmiejską straż po-
siłkowali

Strzelcami ochoczymi, tym czasem do
koła

Codzień gorzały bliskie folwarki i pola.

Dopiero czwartego dnia Kozackie ta-
 bory
 Okryły wszystkie pola przedmiejskie
 i góry:
 Konni opanowali pagórki, a piesza
 W dół się opuściła prosto ku przed-
 mieściu rzesza.
 A jako Niestr gdy z brzegów zbierze
 oraz topi
 Bydło, ludzie, osoby, tak i oni chłopi
 Przypadłszy z strasznym wrzaskiem,
 z niewymownym szumem
 Oboje zawalili przedmieścia swym tłu-
 mem;
 Tam kto się im nawinał na podwórzu,
 w domu,
 W pień siekli, nie folgując nikomu,
 nikomu!
 Właśnie kiedy do lasa gromada więc
 wpadnie,
 Waży żelazem drzewa na kupę szka-
 radnie:
 Tak oni nie borgując i najmniejszej
 duszy,
 Walili ciała ludzkie pobite na stósy,
 Nie patrząc na stan, na pleć, na dzie-
 cinne lata,
 Nic tam nie było słyhać, tylko prze-
 bog! rata!

Wojdytto.

Co za dziw, chociażby się Dorosz z pra-
wda minął,
Ponieważ się do Lachów z bojaźni
przekinał,
Teraz Ruś jako może podaje w ochydę.

Dorosz.

Bóg mi świadkiem, że prawdą, a nie
falszem idę,
I najmniej nie przyczyniam, anim się
do Lachów
Zaprzedał dla przegrózek abo próżnych
strachów:

Ale widząc postęпки takie naszej Rusi,
I o wierze swój człowiek powątpiewać
musi.

Gdyż jeżeli się przypomnieć słowa Bo-
skie godzi,

Dobre drzewo owocu zlego nie urodzi.
Matka nasza jest Cerkiew powszechna,
tój matki

Widząc tysiąckroć gorsze nad pogany
dziatki,

Musialem sobie bractwo tych wyrod-
ków zbrzydzić,

Muszę się matki takiój (odpuście mi)
wstydzić,

Nie dobre towarzystwo, gorsze bra-
ctwo z czarty.

Ostafi.

Przecie ty praw puściwszy mimo się
te żarty,
Zwłaszeza, co Tatarowie na ten czas
robili?

Dorosz.

Zewsząd wieńcem przedmieścia gęstym
otoczyli.
Ktokolwiek się za tylne opłotki wy-
chynał,
Żaden rąk i zasadzek Tatarskich nie
minal,
Niektórzy obaczywszy sąsiad swoich
mordy,
Dobrowolnie przed śmiercią bieżeli
do Hordy,
Jakoż miłosierniejszych pohańców do-
znali,
Którzy i posieczonym rany zawijali,
I wielu okupili z onych niedobitków
Ob zabicia jawnego i katowskich zby-
tków;
Bowiem badając na nich, jeźli czego
w ziemię
Nie zakopali, jednym chłopstwo ono
ciemie
Wiciami dębowemi zakręcało, że też
Oczy im wylazily z ciemienia, niestety!

Drugim sypali węgle, i prysk za pa-
 zuchę,
 Niektórych goło na drwa posadziwszy
 suche
 Podpalali, każdy tam rad nie rad po-
 wiedział,
 Jeżeli kędy o dobrach utajonych wie-
 dział:
 Skoro się tak krwią ludzi niewinnych
 zająsza,
 Ku miastu się pulkami niezmiernemi
 rusza;
 Część ich w domy poblizsze skradłszy
 się, do wałów
 Często bardzo poczęli pukać z samo-
 palów,
 Że kilkanaście z straży miejskie głów
 poległo,
 Potym chłopstwo ze wszystkich ulic
 wraz wybiegło.
 Krzycząc, nute Molojcy, nute, wielkim
 hurmem
 Sypalo się na waly, chcąc wpaść je-
 dnym szturmem:
 Jam rozumiał zaprawdę, że w onęj go-
 dzinie
 Już miasto z kilkudziesiąt tysięcy dusz
 zginie,
 Iż gdy miejska gwardya na one bieguny
 Wypuściła swe ręczne i dzielne pioruny

Że się szzeroognistym murem opasało,
 Tenże też ogień strawił kościolów nie
 mało.

Przedmiejskich, insze wszystkie zlu-
 pione zostały,
 Sam tylko Bernardyński stoi jeden
 cały,

Którego zakonnicy bronili odważnie,
 Odpierając najazdy Ruskie strzelbą
 raźnie:

Częstokroć potem głupią czeru i bie-
 dnych brańców
 Tatarowie do miejskich naganiali szauń-
 ców,

Sami nawalem strzaly wypuszczając
 z łuku,

Im się czolgać kazali chyłkiem na ba-
 łuku:

Wtąż starszyna kozacka kusila usta-
 wnie

Wpaść do miasta fortelem raz, drugi
 raz jawnie,

Osobliwie krzywonos, i pulk jego
 przedni,

Który wszystkie Wolhyńskie fortece
 zniósł w te dni;

Sam obiecał obieżeć chyżo miejskie
 szranki,

I murowane wytrząść z dostatków le-
 pianki,

Jakoż swój rozbójniczy ufiec średnim
 szykiem,
 A czeru stronami puścił z nieslycha-
 nym krzykiem:
 Ale i tu mieszczanie, także ich dra-
 goni
 Ognia dawszy, chorążych dwu zwa-
 lili z koni,
 I kilku Attamanów; sam krzywonos
 przecie
 Serdecznie przywoził ich, aż kulą po
 grzbiecie
 Dano mu, toż ustąpił, za nim wszyscy
 w nogi,
 Potem żaden przywódzca nie chciał być
 tak srogi:
 Owszem głośno poczęli przysięgać na
 wiru,
 Że już z obleżęcami życzą sobie miru.
 Toż Hetman ich oświadczył listem, by
 igrzyska
 Ogniste odłożywszy mieszczanie, a
 z bliska
 Co prędzej z nim czynili targ z stro-
 ny okupu,
 Uchodząc klęski miasta wszystkiego i
 łupu.
 Już też w mieście z nacisku wielkiego
 i głodu,
 Także wody odjętej, pełno było smrodu.

Jeszcze nie przeminęło całe pół mie-
siąca,

A już śmierć dobierała piątego tysiąca;
Przetoż wszystkim się zdało, by i skó-
rą własną,

Ublagać psów zajadłych archandya
straszną.

Jako gdy więc na Korab Mysurski
ładowny

Uderzy zapalczywie Boreas szturmowny,
Wyrzuca szyper w morze najbogatsze
kupie:

Tak miasto postąpiło sobie w tym o-
kupie,

Żeby nie poszło wszystko w drobniu-
chne robaki;

Nie tylko suknie z grzbietów, a z głów
swych kołpaki,

Lecz musiało z skrzyń złoto, z sklepów
dać towary,

Nawet srebro kościelne wydano od
Fary:

Poszły na łup Tatarom kadzielnice,
krzyże,

Tabliczki srebrne, Ruskie ramoty,
i ryże;

Z tych na większą zelżywość obrzydli
złodzieje,

Dali koszulki wierzchnie robić i te-
leje:

Z których nas kubków przedtym, prze-
 czyszczali popi,
 Gorzałkę niemi pili nieszlaebetni chlopi:
 Otoż nam prawosławni cerkiewni wier-
 niey,
 Pięknie wiary bronili Greekiěj i świę-
 tniey.
 Nie dosyć było cerkwie przedmiejskie
 im złupić,
 Że się każda musiała jako bóbr oku-
 pić
 Którakolwiek zostawać nie chciała po-
 piołem,
 Ale i miejską cerkiew odarli ogolem.
 Tym czasem gdy rokują starsi o po-
 koju,
 Młodszy nie przestawają zaczętego boju,
 Codziennie siarczystem gradem często
 plują na się,
 Wiele ich zobudwu stron ginie w tym
 hałasie,
 Ryczą bez odpoczynku móżdżerze i
 działa,
 Nawet za wały czyni wycieczki młódź
 śmiała;
 Wypadłszy w małym poczeie, łupie-
 żników straży
 Z klasztorów osadzonych wyparła dwa
 razy,

Gdzie nabrawszy zdobyczy farbownych
 proporców,
 I samych prowadziła żywcem Pety-
 horców,
 Którzy nie poruszeni żadnej śmierci
 strachem,
 Oto tylko prosili, by jednym zama-
 chem
 Duszę z nich wystraszone, a w śmier-
 telnem ciełe
 Nie dano im się bawić długo, męczyć
 wiele;
 Takie ich bezpieczeństwo było i na
 kraju
 Życia, tak rozumieli, że prosto do rajū
 Iść mieli, którzykolwiek w téj wojnie
 polegli,
 Przetoż na śmierć z ochotą jako na
 miód biegli.
 Ani sobie téj burdy za grzech poczytali,
 Kto był onéj przyczyną, tego wino-
 wali;
 Owszem jawnie mówili, że te wszy-
 stkie zbrodnie
 Z woli Bożkiej czynili, i słusznie i
 godnie.
 Sam Hetman pierwszej noey, skoro
 słońce zgasło:
 Strach Boży bije Lachy, dał Setnikom
 hasło,

A kiedy go proszono, żeby swym za-
kazał

Niewinnéj krwi przelewać, do nieba
ukazał,

Mówiąc: trudno ja rękę Bozką mam
hamować?

Musi ogień przy suchych drwach zie-
lone psować.

Nakoniec skoro trąby pokój wykrzy-
knęły,

Handlować obleżency z kozakami jeli,
Ci im bydła, legumin, dodawali ja-
rzyn,

(Że i jeńców przywoził na okup Ta-
tarzyn)

A mieszczanie ich za to, to dymem, to
parą

Częstowali, gorzalką i tabaką szarą,
Zwłaszcza kto miał tabakę, ten prędko
i tanie

Wszystkiego od nich dostał nad wła-
sne mniemanie;

Tabakę duszą zwali kozacką, a zgoła

Nie wstydał o nią prosić żaden Assa-
wola;

Bo lubo wszystkie miało kozactwo nie-
cnoty,

Nie miało jednak w sobie buty i pie-
szczoty.

Woda a spleśniałemi żyli sucharami,
Koczowali nie w domach lecz pod ko-
tarami.

Ani przeli że w mażach łubianych
z Kaniowa

Wozili pszono, polcie, małdrzyki do
Lwowa;

Jakoż najwięcej u nich było ochotników,
Z Skoromosów, Leśniczych, Powozan,
Budników,

Nawet dziegciarze brzydey, i którzy
z prasólki

Żyli, mieli swe czaty i włościańskie
pułki.

Dla tegoż tak Komonni Bojarowie w te
dni

Najmniej się nie wstydzili handlować,
gdy jedni

Głowy kapustne w worach do walów
nosili,

Drudzy świnie stadami na sprzedaż pę-
dzili.

Kto się też ulakomił, a z niemi da-
leko,

Szedł od miasta, wrócił się bez odzie-
nia lekko;

Insi szyją śmiałości zbytniej przyplą-
cili,

Niektórzy Perekopskie pola nawie-
dzili.

Tak to był nieprzyjaciel srogi i bo-
 leśny,
 Gadał tak jako człowiek, kasał jak
 zwierz leśny.
 Nakoniec, gdy odstąpić już od miasta
 mieli,
 Które oblegli byli pułczwartój niedzieli,
 Ostatka dopalili przedmiejskich palanek.
 Kto im posłał tabaki, a gorzalki dzba-
 nek,
 Wykupił od nich swoje drewniankę
 podniaty,
 Insze wszystkie na potaż popalili chaty.
 Przez dwa dni ona zgraja, jako smo-
 ła z piekła,
 Straszliwą processyą od miasta się
 wlekła:
 Skoro to ustąpiło lotrowskie mrowisko,
 Pokazało się oczom smutne widowisko;
 Przedmiejskie spustoszone pożarem
 osady,
 Splondrowane folwarki, okopciałe sady.
 Gdzie przedtym budynkami ozdobne
 ulice
 Stały, kędy ogrody były, i winnice,
 Wszędzie pustki okropne, straszne
 obaliny,
 Wszędzie rupy okryły, i gęste pe-
 rzyny.

Nie było miejsca, gdzieby pobitego
 chłopia
 Nie leżało kupami, jak na tloku sno-
 pia:
 Tu widać ciał nie dawno pobitych mo-
 giły,
 Tu z trunien wyrzuconych trupów stós
 przegniły;
 Z tych przeprawy na błotach, pomo-
 sty przez drogi,
 Porobił odjeżdżając nieprzyjaciół sro-
 gi.
 Żaden z mieszkańców nie był przedmiej-
 skich, któryby
 Wysiedział w lochu skrytym żywo bez
 pochyby:
 Ci tylko, którzy wcześniej do miasta
 zabiegli,
 Na ten czas z płaczem swoje majątnostki
 grzebli:
 Ale i tym psi długo nie dali się ba-
 wić,
 Którzy się zewsząd zbiegli ścierwy one
 trawić,
 Bowiem zasmakowawszy martwe ciała
 sobie,
 Na żywe napadali ludzie w onój dobie.
 Ledwie tak świat ztrętwieje, śmieie to
 rzec mogę,
 Kiedy trąba ostatnia uderzy na trwozę:

Kiedy się słońce z jasnym księżycem
 zachmurzy,
 A ogień wszystkie miasta, wsi, zamki
 poburzy.
 Sam przeciwnik Chrystusów najwięcej,
 ja wierzę,
 W towarzystwo Kozaków z Tatary
 nabierze:
 Bowiem żadne furje piekielne z sza-
 tany,
 Gorsze już być nie mogą nad te dwa
 kompanij.

Ostafi.

A naszego Symicha, kochane dere-
 wnie,
 Zostali i Wirydarz w całe? piękny
 pewnie.

Dorosz.

Jakoż to sam miał zostać całym, miły
 swatu,
 Kiedy wielki gościniec, co do Arelatu
 Prowadzi, tak wszystek był końskimi
 kopyty
 Cześcią z błotem zmieszany, cześcią na
 proch zbity,

Że nie tylko ja obcy, ale ktoś świa
 domy
 Nie mógł poznać, gdzie stały przedtym
 gęste domy;
 Gdzie niegdy stroił wdzięczne Symich
 delicye,
 Teraz p krzywy rosta, świnia trawę
 ryje.
 Gdzie słowicy od niego przejmowali
 pieśni,
 Dziś zgrzytając świerszczkowie lamen-
 tują leśni.
 Jako każdą rzecz niszczy pożar, woda
 topi,
 Tak też wysforowani z posłuszeństwa
 chłopci,
 Kędykolwiek swe straszne zapuścili
 tłuszcze,
 I najludniejsze kraje obrócili w pu-
 szcze,
 Nie bojąc się ni Boga, ni własnego
 Pana,
 Z tą otuchą, że sprawa już zawojo-
 wana.

Wojdytło.

O Symichu! dajbyś był jeszcze nie
 umierał,
 A z sobą oraz pociech naszych nie za-
 bierał,

Tybyś nam w tem nieszczęściu naszym
 wdzięcznie śpiewał
 Miasto threnów, wesole pieśni w ucho
 wlewał:
 Nie masz cię teraz, kiedy najlepiej
 potrzeba;
 Poszły z tobą ucieszne radości do
 nieba.

Doro s z.

A to co za gromada idzie knam? dla
 Boga!
 Czy nie Kozacka z czaty wraca się
 załoga?
 Prawiebyśmy do saku zapadli im sami,
 Gdyby słyszeli takie gadki między
 nami,
 Przyjdzie milezkiem ich minąć nastawiając uszy,
 Wszak mówią, że molezanka nikogo
 nie puszy.



Zimorowicz Szymon

urodził się w r. 1604. umarł zaś dnia 21. Czerwca r. 1629. Za życia nic nie drukował, ale będąc już w suchotach, spisuje *Roxolanki*, to jest *Ruskie panny* na wesele Bartłomieja Zimorowicza z Katarzyną Duktynicką dnia 28. Lutego 1629 r., na cztery miesiące przed swoją śmiercią. Praca ta jego dzieli się w ten sposób. Na wstępie *Hymen* w postaci dziewczosłaba opowiada swoje przygody. Występuje za nim troisty chór nucąc rozmaite pieśni.

W 1 ^m chórze jest ich 18	} = 68.
w 2 ^m " " " 31	
w 3 ^m " " " 19	

Stosują się one najwięcej do uroczystości, ale są między nimi i takie, które się mało, albo wcale nic nie stosują. Są

zupełnie oryginalne, ale są i z Horacego (Od. 20. X. 11.) lichy zastosowane, lub naśladowane z Anakreonta i innych. Są wskazujące pióro wytrawne; lecz są i pierwociny niedojrzałe. Tak np. Lubomir z choru 2go pieśń XI. jest sielanką nie na wesele pisaną, a Simeon pieśń XIV. z tegoż choru, piękności niepospolitęj wskazuje talent jego w chwilach ostatnich. — Pochowany w Krakowie w Dominikańskim kościele, jak świadczy nagrobek przytoczony u brata. *)

»Subter Te, qui legis, — Simeon
Zimorowicz Leopoliensis, — Omnium
Musarum et Gratiarum — Floridus
Adolescens, — Patriculam terrae
Roxolanae — Cum calculo abjecit;
— Ipse indole, Litteris, Moribus
— Annos XXV. supergressus. —

*) Viri illustres civitatis Leopoliensis per Bartholomeum Zimorowicz. Leopoli 1671.

*Rediit unde venerat Anno 1629. die
21. Junii; — cui — F. R. M. R.
Lacrimas et longum Vale, — Tu
supremum Hare da et I.*

Młody Szymon miał w bracie swoim Bartłomieju wzór i zachętę. Składał on różnemi czasy miłosne piosnki, elegie, naśladował ody, tłumaczył i tworzył siesanki. Był w sile talentu, gdy powziął zamiar uczcić wesele brata. Utworzył kilkanaście wybornych pieśni do tych dołączył wszystko cokolwiek godniejszym uznał z dawnych swoich tworów, poodmiemiał gdzie niegdzie, podzielił na chory i w jednym wieńcu złożył w dani oblubieńcom, nie dbając jak mówi, czy prace jego potomne czasy obaczą. Tak powstały *Roxolanki*, jedyna oryginalnej muzy jego puścizna.

Wszystko tu jest młodzieńcze: czucia, maxymy, dobór barw i przedmio-

*tów wydają człowieka, który wartość
i powaby życia przeczuwa i lub je ceni
za nad to, lub się ich szreka pospie-
sznie, w szlachetnym lecz mniej opa-
trzném wzniesieniu.*

DZIEWOSŁAB.

Owoż ja Hymen do was wdzięczni Ob-
 lubieńcy
 Przychodzę na biesiadę; Panny i mło-
 dzieńcy,
 Nie rozrywajcie mojem dobrą myślą
 przyjściem:
 Na tom skronie obtoczył Wawrzyno-
 wym liściem,
 Że nigdy krotchwili wesolej nie psuje,
 Owszem w małżeńskich godach chętnie
 ulubuje.
 Onci ja jest Bożeczek, młodziuchny,
 pieaszony,
 Synek Idalskiej matki, Wnuk krasnej
 Diony;
 Przyrodny Kupidynów, nie Kupido
 przecie.
 Aby ludzie samopas nie żyli świecie,
 Żeby ziemskie nie stały pustyniami
 kraje,
 Mężom nieunoszonym płodne żony raję.

Paniąkom sromieźliwym Panicze o-
 chotne
 Sposabiam w towarzystwo często do-
 żywotne.
 Ztąd mię starzy ojcowie, nazywali
 sprawcą
 Malżeńskiego przymierza, albo ślub-
 dawcą.
 Nie dziwujcie, że jestem na postaci
 młody,
 Anim statkiem osypał młodziuchnej ja-
 gody;
 Jeszczem ja świata tego dziecinne pie-
 luchy
 Z pierwocinami, oddał matce złoto-
 ruchy.
 Nad to, gdy pokolenia następne roz-
 pładzam,
 I sam coraz młodnieję, coraz się od-
 radzam,
 Jako winna macica, plód swój wielo-
 mnogi
 Przez każdoroczne zwykła rozkrzewiać
 połogi,
 Z której na miejsce maciór, młódź wy-
 nika nowa:
 Tak też nienaganione one Bozkie
 słowa,

Także i was panienki, kiedy szyje wasze
 Ukrywacie przed jarzmem, tą pocho-
 dnia straszę.
 Bo niesłusznie do spółku ludzkiego
 przychodzą
 Ci, którzy mogąc, sobie podobnych nie
 rodzą.
 Owszem światłości dziennęj zażywać
 niegodni,
 Że drugim nie podają żywotnej po-
 chodni.
 Przetoż niechaj przedemną kędy chce
 kto stroni,
 Ujrzy, jeżeli hardego pióra nie uroni.
 Doznał mię Polyphenus, niegdy syn
 Neptunów,
 Chociaż się Bogów niebał, ani ich
 piorunów.
 Skorom mu tylko gładką Galateę
 schwalił,
 Wszystek się, jako Etna siarczysta
 rozpałił,
 Że z jamy jego ciemnej gęsty dym
 wypadal:
 Że też on krwawożerca, który ludzic
 jadał,
 Galantować się umiał, w pośród
 Oceana
 Ciało olbrzymkie kapał, stojąc po
 kolana.

Nauczył się grabiami poczesać czu-
 pryńny,
 Sierpem brody przystrugać, dla mło-
 dój dziewczyny.
 Często z stodziurnej surmy piszczek
 jednooki
 Ogromne głosy na wiatr wypuszczał
 szeroki.
 Nie jednego niedźwiedzia dla kożu-
 cha zabił,
 Żeby tylko dla siebie Galateę zwabił.
 Wtąż mężnemu Pelidzie Pryamowa
 córa
 Podobała się, chociaż brata jój He-
 ktora
 Na placu położywszy Trupokupcą zo-
 stał,
 Starał się, aby grzecznej Polixeny
 dostał.
 Ojciec był nie od tego, dla tegoż pan
 młody
 Bezbronny do Cyntego Kościoła na gody
 Przyszedł, ale niż wiarę Pryamownie
 ślubił,
 Przy ołtarzu go Parys nie mężki za-
 gubil.
 Nie wspominam Dziewoi twojój Oeno-
 manie,
 Uchodzącej zalotów na prędkim Ry-
 dwanie,

Wszak jój nie ratowały Woźniki o-
brotne?

Ani poszóstne, ani wozy bystrolotne?

Kiedy własny Forytarz wydał ją na
jarki,

Skoro do niej wyjechał Tantalowie
gładki.

Wszak i ty Rozymundzie, zaledwieś
wyczytał

Imię pólbrata mego, kiedyś się go
chwytał.

Jeszcześ go z twarzy nie znał, aniś je-
go krzywych

Słuchał obietnic, ani fortelów zdradli-
wych:

A już w niewinnych latach zamysłami
twemi

Bujaleś, równo z jego pióry pierzehli-
wemi.

On się nad tobą pastwił za twą lu-
dzkość srodze,

Oczy twoje dał ślepój cheiwości za
wodze.

Ilekroć się do serca wemknął on gość
chytry,

Wzneciwszy gorzki ogień z smrodli-
wój salitry.

Kuźnie swoje złożył, tam swe strza-
 ty kował,
 Tam je ostrzył, tam twoją kwią one
 hartował.
 Ty zasię swój krewkości zostawszy
 rozrzutnym,
 Obraleś z towarzyszem przestawać o-
 krutnym.
 Wolaleś swe zabawy mieć z niemiło-
 siernym
 Zabójcą, niżli zemną przyjacielem wier-
 nym.
 Jam tobie kwiatki zbierał po świętym
 Syonie,
 Jam na Libanie wieniec składał na two
 skronie;
 Jam dostawał balsamu z Raju twój mło-
 dości,
 Jam owoc z Palmy zrywał dla twojej
 wieczności.
 A ty odemnie spieszno na Attyckie
 góry
 Uchodziłeś do mądrój rzkomo Terpsi-
 chory.
 Przecie jednak musiałeś minąć Terpsi-
 chore,
 A otrzymać tysiąckroć wdzięczną Lili-
 dorę.

Prawda, mało pomoga Muzy mięko-
 liczne,
 Kiedy moje dochodzą strzały serco-
 tyczne.
 Nie wiedział przedtym Phebus syn wiel-
 kiój Latony,
 Coby za władzę miała Królowa z An-
 kony.
 Wszystkie lata młodości swojej i go-
 dziny
 Poświęcił wiecznośpiwnym Pansom
 Mnemozyny.
 Z niemi usiadłszy blisko Askrejskiej
 fontany,
 Na głośnotwornój arfie waleczne He-
 tmany,
 Nieużyte Bojary, hardomyślne Groffy
 Wychwalał, zawieszując gładkim ry-
 mem stroffy.
 Miléj mu było, siedząc u Aoniskiej
 studnie,
 Płaskim głosem wykwintnie zaśpiewać
 w południe:
 Abo trąbę, i stalną wziąwszy rohatynę,
 Bieżeć z myśliwą siostrą w Moskiew-
 ską krainę,
 I tam zabijać Żubry, Tury i Niedźwie-
 dzie:
 Niżeli przy podwice siadać na biesie-
 dzie.

Dla tegoż się mojemi uciechami brzy-
dził,

Kędy mię kolwiek zoczył, wszędy ze-
mnie szydził:

Na co, prawi, ten Sajdak nosisz na
twych karkach,

Ponieważ do strzelania nie masz siły
w barkach?

Mnie to raczej Marsowe orężę przystoi,
Którego się wieprz groźny, i mściwy
Lew boi.

A ty licha dziecino, zaniechawszy łuku,
Głównią podkurzaj Gachów przemierz-
łych na bruku:

Mnie strzały daruj. Prawda Phebie
z twojej kusze,

Nieme bestye martwej pozbywają du-
sze:

Mój zasię belt z pieuszczonych wypu-
szczony rogów,

Przejmie ciebie, i twoich przechwalo-
nych Bogów.

To rzekłszy, z Lampsackiego Pałacu
cięciwą

Wrzuciłem mu do piersi strzałę zapal-
czywą;

A drugą, która niechęć, i nienawiść
czyni,

Utopiłem w Penejskiej młodzieuchnej
kniehini.

Pierwsza była Arabskim powleczone
złotem,

Ta zaś przytępiona ołowianym gro-
tem:

Przetoż Apollo całem sercem ku niej
pała.

Nimpha zaś obowiązków małżeńskich
niedbała,

Woli Jelenie śledzić po kniejach nie-
ludnych,

Zaniechawszy urody i zalotów trudnych.

Titan co na nią wejrzy, z miłości u-
miera.

Jako ogień chróst suchy i plewy po-
żera,

Tak płomień jego serce gorące otacza,
Czasem bierze otuchę, a czasem ro-
zpacza.

Widzi warkocz po szyi białej rozpu-
szczony,

Piękny, choć superfinem w kolo nie
spleciony.

Patrzy na oczy równe gwiazdom wyi-
skrzonym,

Dziwuje się paluszkom z kryształu to-
czonym.

To wargi, to ramiona okrągłe prze-
chwala,

I to, czego nie dojrzał: on tak się
rozpała.

Panna od niego oczy odwraca wsty-
 dliwa,
 Cynthius krzyknie: postój panienko
 poczeiwa,
 Nie uciekaj przedemną służebnikiem
 wiernym:
 Tylko Owcy lękliwój, przed Wilkiem
 obżernym,
 Lub Garlicy przed Orlem, który ją
 chce szkodzić,
 Abo Łani przede Lwem przysusza u-
 chodzić.
 Ale ja nie umyślem Wilczyce drapieźnej
 Spieszę do twych różannych ust, i szyi
 śnieżnej.
 Pochamuj bieg niebo, żebyś bieząc
 marnie,
 Nie ugodziła nóżką na ościste tarnie.
 Uchodź lekko, za tobą i ja pójdę
 miernie,
 Waruj upaść na skałę, abo ostre
 ciernie.
 Przytym rzucę na mię by raz okiem
 przyjacielskim,
 Patrz kto goni? nie jestem skotopa-
 sem sielskim.
 Nie zrodziłem się kmieciem, ani pro-
 stym gburem,
 Żebym chodził za bydłem gromadzkim
 z kosturem.

W Delphickiej ziemi, w Księstwie Pata-
 rejskim ślicznym,
 I na Tenedzie jestem dzierzawcą dzie-
 dzicznym.
 Umiem do kupy sprzęgać wierszyki
 podwójne,
 I na Lutni przebierać trafię strony
 strojne.
 Nie nowina mi śpiewać przy szemrzą-
 cym flecie,
 Nie nowina kanzony grawać na kornecie,
 Mogę galardy z Włoską pergameszką
 skoczyć,
 Płeszy Ruskie wyprawiać, Polskim tań-
 cem toczyć,
 Chociażem z Padewskimi nie siedział
 Doktory,
 Przecie Lekarzem każdy przyznawa
 mię chory.
 Znam ja, której chorobie przygodzi
 się ziele:
 Niestety! choćże ludzi uzdrowilem
 wiele,
 Nie mogę sobie pomódz mym własnym
 ratunkiem:
 O zła miłości, żadnym nie zleczona
 trunkiem!
 Tą mową gdy jój nie mógł ucieczki
 zatrzymać,
 Umyślił jój dogonić, i gw altem poimać.

Lecz temu nie podolał, bo Penejska
Córa

Wziąwszy do nóg Dziewieczych lekko-
wietrzne pióra,

Jęła uchodzić przed nim ukwapliwym
skokiem,

Cynthius popędliwym, tuż tuż za nią
krokiem

Nacierać nie przestawał, a jój przy-
bywało

Ozdoby; w biegu onym bowiem białe
ciało

Z trudu otoczyło się szkarłatnym ru-
mieńcem,

Choćże z głowy zaplotki upadły jój
z wieńcem,

Pięknie z wiatrem się wila kosa ro-
zpostarta.

Tak kiedy więc ochota myśliwego charta
Za leśnym kotem w polu przezroczy-
stym ciska,

A ten z nieznajomego poszczwany sie-
dliska

Wichrom bystrym wprzód nie da, ile
w nim tehu staje

Pedzi, ów odpoczynku także mu nie daje,
Ale tuż nad nim wisi, już już myśli

noga,

Dostać go, już mu w sercu śmierć go-
tuje srogą;

Już chce pysk w szyi jego utopić za
 uchem,
 A zwierz kusy umyka do lasa z ko-
 żuchem :
 Nie inaczéj ci gońcy zawadem się drażnią,
 Ten prędki dla nadziei, ta chybka bo-
 jaźnia.
 Skorom Latończykowi przypiał do nóg
 skrzydła,
 Uchwycił ją, a Daphne w rękę mu o-
 stydła,
 Duch się w niéj zahamował od cięż-
 kiego technienia;
 Przetoż widząc się bliską pewnego
 zginienia,
 Prosiła Bogów, żeby natychmiast u-
 marła,
 Abo żeby ją ziemia rozstępna pożarła.
 Jakoż na temże miejscu żywo zatę-
 twiała,
 Twarz się jéj śliczna, skórą chropa-
 wą odziała :
 Z włosów listy, a z ramion gałęzie
 wyrosły ;
 Nogi obie, które ją ukwapliwie nio-
 sły,
 W ziemię na którój stały, puściły ko-
 rzenie ;
 Tylko jeszcze serca jéj nie ustalo
 drzenie.

Smutny Pean, że żywój nie mógł do-
stać żony,

Zmarłą obrał za Wawrzyn sobie po-
święcony.

Ja z tobą Rozymundzie łaskawiej po-
stąpił:

Bo jakom tobie czystych zapalów nie
skąpił,

Tak wzajem gładkowłosej twojej Lili-
dorze

Ogniów nieugaszonych udzieliłem spo-
rze.

Równym sposobem matka prędkiego
Memnona,

Milowała przedziwnój urody Tytona:

Tyton też ulubwszy nadobną Aurorę,
Płomienie brał do ciała z jej gładko-

ści spore.

Takiój i ja ku tobie życzliwości za-
żył,

Tyś mnie u siebie bardzo ładajako wa-
żył:

Tyś najmniejszą podniętę Kupidowój
strzały

Dwakroć drożej szacował, nad moje
zapaly.

Jam ciebie odrzuczony na stronę za-
łował,

Ja żeby twą dzielnością marnie nie
szafował

Wróg żywota ludzkiego, miasto sro-
 giój kaźni,
 Przybrałem towarzysza do twojej przy-
 jaźni,
 Nie prostój krwi, lecz zacnych ro-
 dzicielów córe,
 Najpiękniejszą w Rosiejskim kraju Li-
 lidore.
 Ta zaledwie z Jutrzenką na Olimpie
 rano
 Pokazała niskiemu światu twarz ró-
 żaną,
 Zaraz z Septemtryonu śniegi z zimą
 sprosna
 Uciekły, na ich miejsce młody Zephir
 z Wiosną,
 Nastąpiwszy, kwiatami pola uhaftował;
 Tój rozmaryn wrodzoną przyjemność
 darował,
 Tój Róże sromieźliwe wstydu udzie-
 lily,
 Tój ciało białością swą Lilie okryły,
 Tój fiołki barwiste, i pachniące ziola,
 Koronę dla świetnego zgotowały czola.
 Tę Nabatejskie kołem otoczyły wonie,
 Tę Gracye na wdzięcznym piastowały
 łonie:
 Tę Kameny na wierzchu Libetryjskiej
 skały,
 Przy muzyce niebieską rosą wykapały.

Ta w jednej konsze z matką moją pia-
 norodną,
 Na Oceanie wielkim pływać była go-
 dną.
 Tę ją, gdy zamysłała Bozkiemu imie-
 niu
 Służby oddać, u Westy w niedostę-
 pnym cieniu,
 Namówilem w małżeństwo, że też ani
 zgadła
 Jako u boku twego za stołem usiadła.
 Tak niegdy Persephona Cerery ko-
 chanie,
 Umyśliwszy w swiebodnym lata trawić
 stanie,
 Po łąkach i dąbrowych kwiatki wielo-
 rodne
 Zbierając, przesadzała na grzędy ogro-
 dne.
 Z nich to rószezki równała, to wieńce
 okragłe
 Rozmaicie zwijała, na czolo wyciągłe.
 Skoro ją stary Pluton w Wirydarzu
 zoczył,
 Pierwój porwał do siebie, niżli jój
 doskoczył.
 Chociaż szyję ukopcił w Awernowych
 butach,
 Choć do niej w smarowanych dziegiem
 wyszedł butach.

Chociażże dymem śmierdział, i obrzydła siarka,

Wolała Plutonową być, niżli wieńczarką.

Któż nie wiadom uporu krnąbrnej Atalanty,

Jako brzydko gubiła miłosne Galanty!
Żeby myliła biednym zalotnikom szyki,
Na wyścigi wypadać śmiała z zawodniki.

Ten jój miał być do śmierci przyjacielem całym,

Któryby z nią porównał jeduostajnym czwałem:

A który pole w onój gonitwie utracił,
Gardłem lenistwo ciężkie i zaloty płacił.

Wiele się porywało wydolać jój w biegu,

Ale każdy ustawszy, przy piekle noclegu

Miasto łożnice dostał, przecie do zawodu

Obrał się Megarejezyk z mojego powodu:

Temu ja w sercu nową wznieciwszy ochotę,

Dalem rozrywkę, dalem i dwa jabłka złote,

I trzecie, które pasterz Trojański na
Idzie

Rodzicielce z piękności przysądził Cy-
prydzie.

A w tym, gdy znamię dała biegu trą-
ba sroga,

Natychmiast przodek wzięła Panna wia-
tronoga;

I pierwójby onego dokończyła tańca,

By ją nie hamowała trzecia pomarań-
cza.

Bo gdy on jabłka rzucał, ona je zbie-
rała,

Przez omieszkanie w drodze przejąć
mu się dała.

Tym fortelem Młodzieniec lotnej sko-
czce sprostał,

Swoje zdrowie zachował, a z niej żo-
ny dostał.

Ale ty przyjaciela za moim wyrokiem
Otrzymałeś, nie gwałtem, nie szalo-
nym krokiem,

Lecz miluchno, i snadno; któż to in-
szy sprawił?

Kto imie Lilidory, naprzód tego zja-
wił?

Kto ją oczom pokazał? kto w sercu
osłodził?

Oprócz mnie, którym do niej w dzie-
wosłaby chodził.

Jam pierwszy oczy wasze do siebie na-
 klonił,
 Jam pilnował, aby wzrok gdzie indziej
 nie stronił.
 Jam usta wasze poił obfitą wdzięcznością,
 Jam zaloty cukrował wasze przyje-
 mnością.
 Oświeciłem miłością w sereach drogi
 skryte,
 Skruszyłem trwałem statkiem zamki
 niedobyte.
 Dwie dusze w jedno ciało takem mo-
 eno spoił,
 Żeby ich wróg zawistny żaden nie ro-
 zdwoił.
 Chociaż mokre obłoki powodzią roz-
 płyną,
 Chociaż morze i rzeki wody z brzegów
 liną,
 Choć *Eolus* powietrze wzburzy wszy-
 stko właśnie,
 Ten ogień w sereach waszych nigdy
 nie zagaśnie.
 Darmo tedy Kupido o was się pokusi,
 Bowiem pochodnia jego tu szwanko-
 wać musi.
 Zechceci wam z daleka szkodzić z swęj
 łuczyny,
 Prędko z swych strzał miłosnych be-
 dzie miał perzyny.

Zkąd *Boreas* na wichrach nieścignio-
 nych leci,
 Wszędy mnóstwo panuje Adamowych
 dzieci.
 Te zasiadają Pańskie i Cesarskie krze-
 sia,
 Te wymyślają co raz subtelne rzemie-
 sła:
 Te budują Pałace, Miasta, Zamki,
 Dwory,
 Te napelniają Wojska, Niebiosą,
 Klasztory,
 Te Regiment nad wszystkim stworze-
 niem trzymają,
 Te przez ozdobne wnuki, i śmierci
 znikają.
 A chociaż im do czasu, te lepianki
 z gliny
 W proch nieznaczy rozdrobi śmiertel-
 na łotryni;
 Przecie dnia ostatniego w świetniejsze
 odziani
 Członki, do chwały będą niebieskiej
 wybrani.
 Tym kształtem pomarańcze dwie w ży-
 znym Kanapie,
 Gdy słońce przemieszkiwa w złotoru-
 nym Skopie

Listami się okrywszy, co raz rozra-
 stają
 W latorośle, a jabłka po Kwietniu
 wydają.
 Nie inaczej początek Małżeńskiej
 przyjaźni
 W zalotach się zieleni z razu, dla
 bojaźni
 I nadziei, a skoro gruntowną umowę
 Uczyni, bierze wieńce rozkwitłe na
 głowę.
 Gdy zaś stanie przymierze ślubne, po
 nim gody,
 Na końcu wyrastają małżeńskie jagody.
 Z nich plemienia ludzkiego nieprzebra-
 na tłuszczą
 Rojąc się, światu temu zgrzybieć nie
 dopuszcza.
 Co raz pod stare strychy młodź nową
 posadza,
 Którą śmierć zatrzymywa, czas łako-
 my zdradza.
 Samego tylko stanu małżeńskiego,
 Ksieni
 Wszystkokrotna nieprzetrwa, ani wy-
 korzeni.
 Insze stany prędkoby dawnością ustaly,
 Gdyby z małżeństwa świeżych posił-
 ków nie brały.

Trzykroć szczęśliwa *Paro*, z ciebie ja-
 ko z płodnych
 Dwu szcepów, wiele wznidzie owoców
 dorodnych.
 Bezpieczniej polatują dwie Synogarlice,
 Ochotniej pnie się w górę Bluszcz
 wsparty na tyce;
 Wdzięczniejszy odgłos bije z dwu Szpi-
 netów zgodnych,
 Większy zapach z dwu Lilji wypada
 ogrodnych:
 Bystrzej płyną dwie rzece do kupy spu-
 szczone.
 Trwalsze w ciągnienu konie, do pary
 sprzężone;
 We dwa rzędy sadzony ogród kształ-
 tniej stoi,
 Dyament w kaście złotym jaśniej świa-
 tłość dwoi,
 Głośniej dwa słowikowie śpiewają
 swiebodni,
 Weselėj zapalonych gore dwie pochodni.
 Tak i wy w jedno życie z obojga wcie-
 leni,
 Z obudwu stron będziecie żyć blogo-
 sławieni,
 Tego wam niebo życzy, które swe
 pałace
 Wyprzątnione, przez wasze chce o-
 sadzić prace.

Tego wam świat uprzejmie winszuje
wesoly.

Na uczestnictwo wasze gotując żywioly.

Tego Ojczyzna, tego i ja sam bogato

Użyczyć chcę waszemu spółkowaniu
za to:

Że wy wzięwszy przed oczy zacny
wyrok Bozki,

W tył rzuciwszy frasunki, trudy, ko-
szty, troski,

Nie ścieszkami ciasnemi, nie manowcem
skrytym,

Aleście się puścili w zawód torem bi-
tym.

Bieźcież, nie ustawając w chwalebnym
Zakonie,

Do kresu, gdzie macie wzięść dwie
złote koronie.

Oto za was Kupido (nie ów co się łą-
gnie

W Paphie) lecz *Amor* Boży to jarzmo
pociągnie.

On sam wasze ciężary na swą wzię-
wszy szyję,

Ulży wam, i w cieniu was swych skrzy-
deł zakryje,

Żeby wam nie zaszkodził ogniem dzien-
nym, ani

Phebus jasnogorący, ani nocna Pani.

On otoczywszy piórmí lotnemi ra-
 miona,
 Wyniesie was z niskości tych nad
 Oryona.
 Onoż i siostra jego Zgoda, Duszę
 z Duchem
 Lutując, przepasuje was wiecznym
 łańcuchem.
 Ta skroniom waszym róże gotuje wy-
 borne,
 Ta słodkobrzmiącój lutni ćwiczy stro-
 ny sferne:
 Za nią w tropy wesola poskakuje Rota;
 Powolność, Wiara, Pokój, Dobra
 myśl, Ochota.
 I fortuna życzliwa, na takie igrzysko
 Nie omieszkała, owszem przystapi-
 wszy blisko,
 Binde z oczu zdejmuje, a z szczęśli-
 wój czary
 Na głowę waszę wlewa niepojęte
 dary.
 Bóg też dawca wszelkiego dobra, swą
 osobą
 Że tam przebywa, gdzie dwaj zgodnie
 żyją z sobą,
 Byście w zaczętej drodze nie upadli
 marnie,
 Zewsząd was nieomylną dobrocią o-
 garnie.

Oczy łaskawe ku wam nakłoni z wy
 soka,
 Pilnując ścia waszego, jak źrenicę
 oka,
 Da miejsce prośbom waszym pokornym
 u siebie,
 Pośpieszy na ratunek wam w każdej
 potrzebie.
 Skarby łask nieprzebranych nad wami
 otworzy,
 Pociech, zdrowia, radości, i lat wam
 przysporzy.
 Wasze dolegliwości, uciski, kłopoty,
 Przemieni w nieodmienną roskosz, i
 w czas złoty.
 Aż wy nacieszywszy się z wnuczęty
 swojemi,
 Otrzymacie dziedzictwo obiecanęj ziemi.
 Tym czasem, wdzięcznie proszę, przyj-
 mijcie tych gości,
 Których do was prowadzę z Roxolań-
 skich włości:
 Dwa chory Panien, trzeci z Młodzień-
 ców zebrany,
 Ida spieszno z muzyką, z tańcami,
 z Padwany,
 Ale dawno Dziewiczy pierwszy poczet
 teśni,
 Że jeszcze nie zaczyna różnogłośnych
 pieśni.

Więzie im puszcze plac dla lepszej
 krotchwilój,
 Wy uznawajcie, która zaśpiewa z nich
 milój.

HELENORA.

Już to próżno mój ukochany, przyznać
 ci muszę,
 Zraniłeś mi nie pomalu serce, i duszę:
 A nie dałeś mi pociechy inszej w choro-
 robie,
 Tylko tę, że ustawicznie myślę o
 tobie.
 Albowiem lubo dzień po niebie światło
 rozleje,
 Lubo smutna noc czarnym świat płas-
 szczem odzieje;
 Żal mię trapi bez przestanku ciężki
 nieboge,
 Że bez ciebie najmilejszy wytrwać
 nie mogę.
 Chociażes ty jest na pojrzeniu mnie bar-
 dzo cudny,
 A co większa, i w rozmowach wielmi
 obłudny;

Nadto, że mi nie oddawasz chęci
 wzajemny,
 Przecie jednak niewiem czemuś u mnie
 przyjemny.
 A bogdajżem cię nigdy była przedtym
 nie znała,
 Niżelim w tobie serdecznie tak zako-
 chała:
 Zakochawszy, jeżeli ci nie miła
 przecie,
 O bogdaj żebym nie długo żyła na
 świecie!

LYCIDINA.

Moje miłe rówiennice,
 Powiem wam swą tajemnicę.
 Żaloszna, nie mała, Szkoda mię potkała;
 Nie we złocie, ni w dostatku,
 Ale w najprzedniejszym statku:
 Pół roka minęło, Serce mi zginęło.
 Nie był nikt czasu téj zguby,
 Tylko mój jedyny luby:
 Przecie z téj przyczyny, Nie daję mu
 winy.

Bo nie brał on serca mego,
 Gdyż samo zbiegło do niego:
 Aż z swój dobrej woli, Zostało w niewoli.

Jeszcze mu dziękuję za tę
 Uczynność, że moję stratę,
 W tak znacznej potrzebie, Przytulił do
 siebie.

Inszój mu nie dam nagrody,
 Tylko połowicę szkody:
 Na czym małoli ma, Niechaj wszystko
 trzyma.

Nie zechceli przestać na tym,
 Wiem, co ja uczynię za tym:
 Bym nie zbyła duszę, Za sercem pójsć
 muszę.

Żadna Panna, ani Pani,
 Wierzę, tego nie nagani:
 Ile Białejgłowie, Mile mi jest zdrowie,

Choćbym nie rada, ja tuszę,
 Przecie tak uczynić muszę:
 Bez serca, wszak wiecie, Trudno żyć
 na świecie.

KORONELLA.

Sliczny Aniele,	W człowieczem cie- le
Ciałem nadobnym,	Duchu przewybrany: Jako ozdobnym Płaszczem przyo- dziany.
Tobie bez miary,	Bóg nadał dary, Na twe młode ciało:
Wszystkie przymio- ty,	Pięknej istoty, Przyrodzenie wlało.
Bowiem człowieku	Przybywa wieku, Zakwitają lata :
Gdy z wzrostu twe- go	Cząstkę pięknego Upatruje świata.
Z twojego czoła,	Radość wesola Jawnie wylatuje:
A wstyd pieszczony,	Jako z zaslony, Pleć swą pokazuje.
Przez oczy czyste	Twoje ogniste Zorze wynikają;
Których promienie,	Ludzkie sumnienie Nagle przerażają :
Z serca twojego	Ulubionego, Przez oczy wstydl- we,

Miłość zakryta,	Żądze nam chwyta,
Twoje jagody,	Ognie miece żywe.
Z ust zaś różanych,	Pięknój urody
	Owoc wydawają:
	Slów nieprzebra-
	ných,
Ciebie do góry	Źródła wypływają.
	Prędkimi pióry,
Miłość skrzydlata,	Cna sława winduje,
	Gdzie jeno lata,
	W rękach cię pia-
	stuje.
Przecież ja ciebie	I tu, i w niebie,
	Nie mam za anioła:
Lecz jesteś tajnym,	I niezwycajnym
	Kupidynem zgoła.

LENERULA.

Oto ja dzisiaj śmiertelną zaslone,
 Ciała grubego złożywszy na stronę:
 Dziwnym a nie ladajakiem, Pójdę na
 powietrze ptakiem.
 Wprawdzie nie z Krety, z obłądli-
 wych przecie
 Budynków, jakie Dedalus na Krecie

Sztucznie zbudował przed laty, Wylecę
człowiek skrzydlaty.

Już mi nadzieja woskiem pióra spina,
Już mi chęć skrzydła do barków
przypina:

Już mię myśl porywcza z niska, Pod ja-
sne obłoki eiska.

Teraz że lotem wpadłszy między
wiatry.

Przez dzikie pola, i oziębłe Tatry:
I przez niezbrodzone rzeki, Polecę, ja-
ko ptak lekki.

Aż gdy Roszańskie obfite doliny,
I kąt mnie miłszy nad insze krainy
Obaczę: natychmiast pióry, Puszcę
się ku ziemi z góry.

Tam raz przywitam, trzykroć ucałuję,
Cześć serca mego, którą tak miłuję:
Że dla niej lubo śmierć, lubo Żywot
przyjmę zawsze lubo.

Widzę już widzę oczy ukochane,
Widzę jagody, i wargi rumiane:
Widzę postać niezmyśloną, Mnie ty-
siąckroć ulubioną.

Ktoby cię nie znał Symnozynie złoty?
Jedyne moje na świecie pieszczoty?
Tyś rokosz ma nieodmienna, Tyś myśl
moja cało-dzienna.

O dniu szczęśliwy, chciéj się prędko
 spieszyć,
 Który stroskane serce masz pocie-
 szyć:
 Na ten czas, kiedy na jawie, Swemu
 miłemu się stawię.

DORYMUNDA.

Próżno na moje kochanie, Uskarżasz
 się Damianie :
 Że zamilować nieboże, W twoich poslu-
 gach nie może.
 Niewiesz, że w udatnem ciele, Mieszka
 pychy bardzo wiele:
 A kto ma więcej gładkości, Tym więcej
 niewa hardości.
 Ztąd i serce nienżyte, Ciałem przyjem-
 nem nakryte :
 Jako i sam człowiek hardy, Nakłania
 się do pogardy.
 Gdy zaś serce swoje chęci, Na inszą
 stronę nakręci:
 Trudno nim kto władać kusi, Ponieważ
 go nie przymusi.

Może kto mieć człeka kwoli, Ale serca
nie zniewoli:
Nawet śmierć, która go strawi, Wolności
go téj nie zbawi.
A ty chcesz sercem kierować Cudzem?
abo mu panować:
Daremnie się o to kusisz, Ponieważ go
nie przymusisz.

CICERINA.

Widziałem cię z okieneczka, kiedyś
przechodził
Rozumiałam, żeś się zemną obaczyć
godził:

Aleś ty pokoje,
Imieszkanie moje, Prędkim minął sko-
kiem:

A na mię nędznicę,
Twoją niewolnicę, Aniś rzucił okiem.
Żal mię przejął niesłychany, gdym to
ujrzała,
Bóg strzegł, martwą zaraz w oknie zem
nie została:

Lecz to niebaczeniu,
Abo też niechceniu, Twemu przyczy-
tałam :

A wieczornéj chwile,
Tuszając sobie mile, Tylko wygląda-
łam.

Przyszedł wieczór, mrok mię nocny
w okienku zastał,
Trwałam przecie, dokąd Księżyc pełny
nie nastał :

A ciebie nie było,
Ani cię zoczyło Oko moje smutne.
Aniś listkiem ciśnień,
Aniś słówka pisnął, O serce okrutne !

Kędy teraz twe usługi, kędy ukłony ?
Kędy Lutni słodkobrzmiaćej głos upie-
szczony ?

Który bez przestanku,
Zmierzchem do poranku Slyszećś
mi dawał :

Przy nim winszowania,
I ciche wzdychania Lekuchność po-
dawał.

Niemasz teraz dawnych zabaw, nie
slychać pienia,
Pelne serce tęsknić, uszy pełne mil-
czenia :

Gdzie zwyczajne śmiechy?
 Gdzie dawne uciechy? Niebaczny czło-
 wiecze!

Nie wiesz że pogoda,
 I godzina młoda, Prędziuchno ucie-
 cze.

Przetoż żeś mi nie winszował szczęśli-
 wój nocy,

Nie uznały snu milego biedne me oczy:
 Także ty wzajemnie
 Łaskawój przezemnie Nocy nie zaku-
 sisz:

Lecz przykre niespania,
 I częste wzdychania Co noc cierpieć
 musisz.

POSCILLA.

Pszczółko niemiłosierna, czemuś ura-
 niła

Mój paluszek? dla czegoś żądło w weń
 wpuściła?

— Dla tegom cię ujadła,
 Żeś z ula miód wykraffa:

Któregom miała pożywać w późnej
 Jesieni.

— Patrzaj jako od razu skóra się rozpadła,
A od bolu srogięgo twarz moja pobladła:

— Pewnie zdrową byś była,
Gdybyś nie poruszyła
Cudzego, i nie sięgala do skrytej
dzieni.

— Któż to wiedział, żeś na ten czas
w dzięni siedziała,
Kiedym ja niesześliwa miód z nięj wybierała:

— Tak świat roskoszy słodzi,
Tuż przy nich gorzkość płodzi:
Międy troche miodu, zółci przydaję
wiele.

— Nie dbam, żeś mię boleści pszczółko nabawiła,
Ponieważ dla tegoś miód z żądlem utraciła:

— Wszystkoś mi odebrała,
Com najlepszego miała;
Masz miód, masz żądło, jesteś pszczółka
w ludzkim ciele.

BORONELLA.

Skoro wiosna młoda pojrzenie we-
sole

Skloniła na pola nagie, i góry gołe!

Zaraz świat starość swą odmładza,
Zaraz ziemia owdowiała płód martwy
odradza.

A ty Pawencyo! w takiej grzecznej
dobie

Dni ucieszne smutno trawisz w przykrój
chorobie,

A czasy wdzięczne i rokoszne
Frymarczyłaś na kłopoty, i chwile ża-
łosne.

Pójdziem wszystkie, w sady kwia-
tkami natknione,

Pośpieszmy i w ogrody nowo sadzone;

Tam wieńców z najzdrowszego ziola
Zgotujemy, dla tego struchłałego czola.

Przetoż śliczna Dziewko, pod ten czas
twój chory,

Z ochotą chciój nasze przyjąć życzliwe
zbiory.

Jeżeli cię nie mogą uleczyć te kwiaty,
Więc się z tobą podzielimy czerstwemi
laty.

CIPRINA.

Roxolanki ukochane! Przez usta wasze różane,
Czemu wasze słodkie strony Nie brzmia wdzięczniej Thelegdony.
Godna jest przedniego pienia, Zacność wiecznego płomienia:
By jej serdeczne zapaly Z Jutrzenką równo gorzały.
Nie tak zorza z jasnej kosy, Rozpościera świetne włosy:
Nie tak wargi swe szarlatne, Wystawia światu udatne:
Jako młoda Thelegdona, Pięknym ogniem rozpalona,
Od zatajonych płomieni, Oblicze wstydem rumieni.
Lampy rozsiane po niebie! Jeżeli ku waszej potrzebie
Światłości więcej mieć chcecie, Zaraz od niej zdobędziecie:
I wy łaskawe Boginie! Które w północnej krainie
Od przykrych mrozów ziębniecie, Prędko się u niej zgrzejecie.
Ani walne wody, ani Morskich przepaści otchlani:

Nawet lata nieprzeżyte, I marmury
 twar do ryte:
 Choć żadnej skazy nie znają, Pamiątki
 jej nie przetrwają.
 Przetóż śpiewacy ucieszni, Zaczynajcie
 nowe pieśni:
 I Roxelanki pieszczone Oglaszajcie
 Thelegdone.

MAJORANNA.

Jużem z pieluch wyrosła, I lat panień-
 skich doszła:
 Już mam potrzebę wzrostu, I urody po
 prostu.
 A niewiem przecie, Kto mnie na świe-
 cie,
 Przyjmie w małżeńskie stadło,
 Umiem potrefić włosy, I warkocz za-
 pleść w kosy,
 Kłaniam się bardzo snadno, I tańczę
 układno.
 A cóż po temu, Kiedy żadnemu
 W serce się nie wkradło.

Mam pogotowiu wiano, Posąg mi wią-
 zano:
 Obiecali wesele, Sprawić mi przyja-
 ciele;
 Ale to fraszka, Gdy młodzieniaszka
 Nie mam dziewczka strokana.
 Bowiem niczym są szaty, Także posąg
 bogaty:
 Lada co obyczaje, Kiedy mi nie do-
 staje,
 Ukochanego, Obiecanego,
 Przyjaciela i Pana.

MARANTULA.

Za twoje kochania ku mnie ukwapliwe,
 Za twoje szczerości nader pieczo-
 tliwe:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany
 Odemnie ten wianeczek różany.

Godzienieś Japońskich pereł, abo złota,
 Ale wiedząc pewnie, że ja jest sie-
 rota:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany
 Odemnie ten wianeczek różany.

Dar to pospolity, lecz nie ladajaki,
 Droższy nad klejnoty, i pyszne kanaki:
 Przyjmijże mój najmiłszy kochany
 Odemnie ten wianeczek różany.

Bowiem że w nim róża jeszcze nie po-
 mięta,
 Nie gardziłyby nim przedniejsze pa-
 nięta:
 Przyjmijże mój najmiłszy kochany
 Odemnie ten wianeczek różany.

Lecz ja pominąwszy wszystkie ich za-
 wody,
 Tobiem go samemu chowała krom
 szkody;
 Przyjmijże mój najmiłszy kochany
 Odemnie ten wianeczek różany.

Sama ja te kwiaty w ogrodzie mym
 lubym
 Urywając, cierniem zranilam się gru-
 bym:
 Przyjmijże mój najmiłszy kochany
 Odemnie ten wianeczek różany.

Jam je, z twarzy mojej dodawszy ru-
 mieńcu,
 Usadziłam kolem jednostajnym w wień-
 cu:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Odemnie ten wianeczek różany.

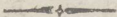
Ażebym do ciebie więcej nie teskniła,
I sercem swe między te róże sprawa-
wiła:

Przyjmijże mój najmiłszy kochany
Odemnie ten wianeczek różany.

T R E Ś Ć
t o m i k u d r u g i e g o .

	Strona-
Biografia Kraszewskiego J. I.	3.
Nieulekniony	5.
Pogrzeb rybaka	8.
Burza	9.
Duchy - Melodja	24.
Biedny chłopiec	25.
Gerhard Ruda	27.
Dumanie nad Horyniem	52.
Dziad i Baba	57.
Dwie enoty	60.
Życie i śmierć	64.
Zawsze razem ,	67.
Biografia Olizarowskiego Tomasza	
Augusta	75.
Krzyż w Peredyłu	77.
Biografia Padury Tomasza	127.
Ukraiński	129.
Kiszowyj	134.
Nyżowец	136.
Duma Ukraińska	138.
Do Shanar doliny	141.
Do wiosny na dolinie Shanar	142.
Grób	144.
Biografia Słowackiego Juliusza	147.
Jan Bielecki	149.
Hugo	179.

Biografia Zimorowicza Bartłomieja	
Józefa	195.
Trużenicy	201.
Kozaczyzna	221.
Burda Ruska	251.
Biografia Zimorowicza Szymona	275.
Dziewosłab	279.
Helenora	306.
Lycidina	307.
Koronella	309.
Lenerula	310.
Dorymunda	312.
Cicerina	313.
Poscilla	315.
Boronella	317.
Ciprina	318.
Majoranna	319.
Marantula	320.



BOOKKEEPER 2008



BG0486191

